

# Dzień i noc



LEO LIPSKI

# Dzień i noc

(OPOWIADANIA)

## DZIEŃ I NOC

*(Na otwarcie kanału Wołga-Don)**„...Niech będzie pochwalony obywatel Jezus Chrystus”.**(Z listu górnika polskiego we Francji do konsulatu w X.)*

Zostawcie mnie wszyscy w spokoju. Razem z waszymi obłąkaniami i wściekliznami. Pozwólcie mi nachylić głowę, pomału, jak nad strumieniem, który płynie. On odbije mój zmienny obraz wraz z majakami sprzed wielu lat. Pozwólcie mi go na chwilę zobaczyć.

Więc nie zbudowaliśmy Wołgostroju<sup>1</sup>. W każdym razie nie nasza to wina, że na wiosnę, wraz z tajaniem lodów, rozleciał się i odpłynął betonowy port. Nie my budowaliśmy go. Naprawdę. Ale za to męczyliśmy się bardzo. Zwłaszcza w zimie.

W latrynach paliły się stuświecowe żarówki, ale one nie grzały. Rano w czasie pobudki było jeszcze ciemno. I niewiarygodnie zimno poza barakiem. Wyjść głodnym na mróz to jest straszna próba. I nieodzianym. To wszystko już znacie i z tego będziecie zaraz rzygać. Ale zaczekajcie.

Przypominam sobie, przed wojną, prowadzili policjanci człowieka i bili go po pysku. Nie mogłem od tego wzroku oderwać. A za nimi szedł tłumek. I ja musiałem patrzeć. Może wy też znajdziecie coś takiego, na co będziecie *musieli* patrzeć.

Byłem pomocnikiem lekarza i dostawałem czasem pensję: pięćdziesiąt rubli. To nie było mało. Kończyłem dyżur nocny. Telefonowałem do karceru, że za piętnaście minut przyjdę. Kuchnie nie miały telefonu. Nie mogłem telefonować, że przyjdę zjeść, niby próbować, czy dobre. Blakła zmore, że któraś z kobiet w nocy zechce rodzić. Ja o tym pojęcia nie miałem. Mówił Grisza:

— Ty tylko tam pójdziesz. One same między sobą.

Wiedziałem, co one same, między sobą, ale to było co innego.

Elektrownia żarzyła się białym światłem. Uzbegy mówili: „Faro”.

To znaczyło „Faraon”. I bali się. Obwieszona spawaczami wyglądała z daleka jak brylant. Już dwie turbiny szły, ale tego nie było słycać. Stuświecowe żarówki, przyrządy elektryczne w kuchni. Podnosiły się powoli mgły i Ona, czworokątna, olbrzymia, bez okien, jednym ramieniem obejmująca Wołgę, unosiła się w górę i opadała, wśród błysków elektrosprawczy. Uzbegy mruczeli:

— Faro.

Mówili po tym tak cicho, że można to było wziąć za złudzenie:

<sup>1</sup> Wołgostroj (ros. Волгострой) — radzieckie przedsięwzięcie powołane w 1932 do realizacji gigantycznego planu budowy kaskady zbiorników i hydroelektrowni na rzece Woldze, podległe NKWD, opierające się na zgrupowaniu obozów pracy niewolniczej (Wołgołag, utworzony w 1935). Pierwszym ogniwem kaskady była elektrownia w mieście Uglicz, ok. 70 km w górę rzeki od planowanego wielkiego zbiornika pod Rybińskiem, budowana od końca lat 30. W tym celu w 1938 przegradzono Wołgę tamą, zaś dwa lata później uruchomiono elektrownię ugliczką. Prac nad uruchomieniem elektrowni pod Rybińskiem nie przerywano nawet mimo zbliżania się linii frontu. Podczas wojny elektrownie rybińska i ugliczka dostarczyły do okręgu moskiewskiego 4 mld kWh, w niektórych okresach pokrywając połowę zapotrzebowania Moskwy. Łącznie przez wszystkie lata w wycince 3600 km<sup>2</sup> lasów na terenach przeznaczonych pod zalanie oraz w budowie obiektów Wołgostroju uczestniczyło ok. 150 tys. więźniów, śmiertelność wynosiła kilku tysięcy osób rocznie. [przypis edytorski]

— On.

Szliśmy z leśnego obozu. Sześćdziesiąt kilometrów dziennie. Poprzez zmęczenie ciężkie, miazdzące, przebijała ciekawość. Bezustanny, zbliżający się grzmot. Złudzenie ze zmęczenia? Weszliśmy do miasta, gdzie należało krzyczeć, gdy się coś miało do powiedzenia. Mieszkańcy byli przyzwyczajeni. Porozumiewali się na migi. Pracowali w niewidocznej, podziemnej fabryce motorów do samolotów. W każdej chwili próbowano siedmiuset. Pani żywotów.

Dwukrotny sygnał świetlny. Pod kuchnią awantura. Trzy zupy na ziemi. Gwar jak w ulu przed wylotem. Na mojej pryczy siedzi mały krawiec z K. Patrzy w jeden punkt i mówi coś do siebie. Grisza jest chory. Przyjdzie dopiero po południu, gdy będzie więcej pracy. Nie będę spał w dzień ani w nocy. Z wielu powodów. Trzy sygnały świetlne. Mały krawiec siedzi na pryczy. Boi się zimna. Najdzielniejsi płaczą, gdy wychodzą na robotę. Łzy nie kapią. Zamarzają zaraz. Ten mały nigdy. Ale boi się wyjść. Dopiero brygadier musi go wyganiać. Niektórzy jeszcze śpią, mimo że chodzą. Przedłużają sen do wyjścia. To nic wam nie pomoże, braciszku, ja wiem. Obudzi was wiatr znad Wołgi, z którym mówiłem w nocy. Obudzicie się ze szronem na rzęsach. Biada tym, co nie jedzą zupy.

I pięć minut na karcer. Bieg kilometrowy. Nastawienie wewnętrzne. Tak, jakby się we mnie coś kurczyło. Twardniało i uczułało się.

Pytam. Stan: siedemdziesięciu sześciu ludzi. Widziałem ich, z wyjątkami, wczoraj, przedwczoraj i tak dalej. Na korytarzu stoją szeregiem, pod ścianą, na spocznij. Naczelnik karceru:

— Zobaczycie.

— Gdzie?

— W celi.

Potakuję.

W ciągu piętnastu minut mam zobaczyć, jak jest ze zdrowiem tych ludzi. Miesiąc w speckolonie<sup>2</sup> to rok obozu. Tak mówią. I trzeba uważać, żeby nie wpaść. To nie jest takie proste, kiedy wszyscy cherlają<sup>3</sup>. Jestem napięty. I nagle spada na mnie przeraźliwy spokój. Nie słyszę, co mówi dalej naczelnik, rusza tylko wargami jak ryba, widzę i słyszę tylko siedemdziesięciu sześciu, tylko.

— No co, dzieci? Mówcie.

Zaczynam pierwszą twarz, chłopska, znośnie blada;

druga: — nie, naciągacz;

trzecia, pierwsza woła: — gorączka, biorę za puls — nie, równocześnie widzę podniesione spodnie szóstej, flegmona<sup>4</sup>: — wystąp;

czwarta, piąta, siódma;

siódma: — jak ja cię bracie dostanę;

ósma;

pierwsza histerycznie: — gorączka, pakuję termometr;

dziewiąta;

siódma mówi — ja mam tylko trzy dni;

dziesiąta, jedenasta, dwunasta, trzynasta, czternasta;

piętnasta — nóż, uśmiecham się czarująco, pomaga, nie zawsze;

pierwsza robi podejrzaną ruchy termometrem, daje znak, że widzę;

szesnasta;

siedemnasta, przekonywujące, goły tyłek, skrzepły strumyczek krwi, znany hemoroidnik;

osiemnasta, dziewiętnasta;

dwudziesta, zostawić, chłopak biały, puls 130: — wystąpić;

Zima

Lekarz

<sup>2</sup>speckolona (ros. спецколонна, skrótowiec od специальная колонна) — kolumna specjalna; tu: karny oddział roboczy więźniów. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>cherlać (pot.) — niedomagać, podupadać na zdrowiu, być przez dłuższy czas słabym. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>flegmona (z łac., med.) — ropowica, ostre ropne zapalenie luźnej tkanki łącznej, najczęściej wywołane zakażeniem bakteryjnym. [przypis edytorski]

nagle siedemnasta, obróć się, pokaż pysk, więcej nie trzeba, pokaż gardło, krwotok, tbc<sup>5</sup>, żołądek, nie wiem, dlaczego pokazałeś tylek... bo... bo... telefon do szpitala, położyć się;

dwudziesta pierwsza, dwudziesta druga;  
dwudziesta trzecia: noga otwarta w bardzo nietypowym miejscu, musiał całą noc trzeć, wystąpi;

pierwsza, biorę termometr, normalna;  
dwudziesta czwarta;  
dwudziesta piąta, złodziej moskiewski, nigdy mi się nie podobał, nic nie mówi, podgorączkowy rano, wystąpić, NO, WY...;

siedemnasta, całą noc z krwotokiem, a może nie, zmyliła mnie świeża krew;  
dwudziesta szósta, dwudziesta siódma, dwudziesta dziewiąta;  
trzydziesta, trzydziesta pierwsza: zgarbiony, symulacja, połóż się, twardość brzucha, lepiej nie, wystąpi;

trzydziesta druga, trzydziesta trzecia;  
trzydziesta czwarta, milczy, ale pelagra<sup>6</sup>, krańcowe opuszczenie się, nie może symulować tego, już czas... wystąpi;

z lekkim niepokojem patrzę, ilu jest już zwolnionych;  
trzydziesta piąta, trzydziesta szósta;  
trzydziesta siódma: brzuch, jęczy, połóż się, macam brzuch, twardy, stosuje trick, lechtnięcie, brzuch miękki, uśmiechnął się typ, dziś idzie;

trzydziesta ósma, trzydziesta dziewiąta;  
uważać, uważać;  
czterdziesta, czterdziesta pierwsza;  
czterdziesta druga: olbrzymi, rzuca się na mnie, gryzie podeszwę, kaftan, prawdopodobnie symulant, podnoszę się;

czterdziesta trzecia;  
czterdziesta czwarta: mijam nieruchome źrenice, jeszcze raz, nieruchome, zakrywam, odkrywam, nieruchome, wystąpi;  
czterdziesta piąta, czterdziesta szósta;  
czterdziesta siódma: opuchnięte nogi jak ciasto, wyżej też, wystąpi...

W końcu dojechałem do siedemdziesiątej czwartej.

O jednym wiedziałem, że leży.

— A drugi?

Siedzi na dolnej pryczy. Członek przybity grubym gwoździem do nar<sup>7</sup>. Wcale nie udaje, że boli. Krwi nie ma. Idę do telefonu.

— Grisza, będziesz musiał wstać. Do karceru. Jeden gość przybił sobie tego do nar.

Podpisuję. Ci, których zwolniłem, idą do lekarza pod konwojem. Tamten w kaftanie na psychiatryczny. Elektryczno-dębowe drzwi otwierają się. W tej chwili cztery sygnały świetlne. Do pracy.

Jeszcze dziesięć minut. Zwałam się na śnieg. Całe zmęczenie skoczyło na mnie jak pies i przygniotło mnie. Teraz jestem całkiem bezsilny, wypluty. Oni by chcieli, żebym zwolnił cały obóz, siedemdziesiąt tysięcy ludzi. Chcieliby mnie dostać do speckolony. Nie. Chcieliby, aby każdy z osobna był jakimś cudem zwolniony. Przynajmniej na dziś. Nie troszczą się o resztę. Podnoszę się ze śniegu. Tutaj jest nienaruszony, błyszczący jak jedwab. O sto metrów dalej są już druty kolczaste i wyżki<sup>8</sup>. Słysząc z daleka orkiestrę. Orkiestra gra. Na takim zimnie. No, no. Poprawiam kitel, robię kilometr i jeszcze pół.

Defilada. Na podium stoję ja, jako przedstawiciel sanaczaści<sup>9</sup>, zastępca komendanta obozu, ktoś z rachunkowości, czy ja wiem, jak się to nazywa. Orkiestra gra u szerokiego

Więzień

<sup>5</sup>tbc (med.) — skrót od łac. *tuberculosis*: gruźlica. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>pelagra (med.) — rumień lombardzki, chorobą przewlekłą wywołana niedoborem niacyny (witaminy B<sub>3</sub>), przejawiająca się zmianami zapalnymi skóry, szczególnie na twarzy i dłoniach, biegunką oraz otępieniem; była chorobą śmiertelną do czasu odkrycia w 1938 skuteczności kuracji niacyną. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>nary (blp) — prycza; tak samo w ros.: *нары*. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>wyżka a. wyszka (reg., środ.) — miejsce położone wyżej, tu: wieża lub platforma obserwacyjna na wysokich słupach; por. ros. *вышка*: wieża. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>sanaczaść, częściej: *санчасть* (ros. *санчасть*, skrótowiec od *санитарная часть*) — część sanitarna; jednostka sanitarna. [przypis edytorski]

wejścia. Kolumny formują się czwórkami. Jest siódma godzina. Wzniesienie dla orkiestry jest oświetlone. Zaczyna się.

Od Wani pożyczam walonki<sup>10</sup>, żeby nie marznąć w nogi. To trwa, przemarsz trzydziestu tysięcy ludzi. Idą, idą. Stachanowcy<sup>11</sup>, łamagi, spryciarze, symulanci. Formują się jeszcze w mroku, wypełniają w jaskrawe światło orkiestry, potem giną w tumanie. Zaczyna sypać śnieg. Fufajki<sup>12</sup> podarte, buty z opon, łapcie. Krzyki formujących. Wołania. Naczelnicy brygad. Cofanie się, potem: „Naprzód!”. Palce owinięte szmatami. I tak zgrabieją, braciszku. Mam policzek zmarznięty. Czterdzieści stopni. Wiatr i śnieg. Ten policzek od strony Wołgi. Trę. Im leją się lzy. Tym najdzielniejszym z wyjątkiem małego krawca. Idą pod wiatr, tworzy się im lód na twarzy, szron na powiekach; oddychają.

Nie potrzeba bojców<sup>13</sup>. Wokoło jest wielkie kolisko wyżek i drutów. Kilkadziesiąt kilometrów. Nie uciekną, bo dokąd? Choćby znali Rosję jak własne palce, to i tak nie. Jest to tak oczywiste, że nawet nie próbują. Chyba wariaci. Nawet kierownik żarcia szpitala. Ma poza obozem ładne tysiączki. Chodzi jak baryn<sup>14</sup>. Ale on też nie.

Odrywa się od brygady jakaś twarz i prosto do mnie. Ja mam jeszcze w tej ostatniej minucie prawo łaski. Ci, którzy w nocy zachorowali, mieli czas. Ci, którzy w czasie wyjścia — Wania. Ci, którzy w ostatnim momencie — ja. Twarz zakryta, owinięta po oczy, tylko oczy błyszczą. Staje. Nic nie mówi. Oczy błyszczą. Biorę za rękę. Puls niewyczuwalny na mrozie. Widzę młode czoło, żółte, Chińczyk? Odchylam dolne powieki: żółtaczka? W końcu łapie. Drobną niteczką szamoce się pod skórą, szybko, zanika, szybko. Zostawić. Siada na podium, nogi zwisają.

— U kogo byłeś wczoraj?

— Aleksander Aleksandrowicz — odpowiada cicho.

Tymczasem mój krawiec przeszedł. Aleksander mówi do mnie przed rozpoczęciem przyjęcia:

— Ja zwalniam tylko co drugiego, jak jest chory. Nie mogę więcej.

— To obciążacie szpital.

— Niech oni się martwią.

Chory opowiada mi, że mówił mu Aleksander:

— Ty, bratku, masz, zdaje się, zapalenie płuc. Ale cóż robić? Poprzedni miał złamaną nogę. Przyjdź jutro.

I zapisuje kamforę, środek wykrztuśny. Wtedy ja do tego chorego:

— Idź do Olgi Pietrownej.

Olga to jest dwudziestoletnia smarkuła. Ona tu jest naczelnikiem. Ale.

Defilada. Znów stachanowcy. Jeśli mieli walonki, prehandlowali na jedzenie, mają onuce<sup>15</sup>. Onuce to wspaniałe odkrycie.

Gdy szedłem z brygadami rąbać drzewo w leśnym obozie, ratowały mnie onuce. Osiem kilometrów w jedną stronę. Przez dwa miesiące nie widziałem, jak wygląda pryca, na której śpię. Wychodziłem przed świtem, wracałem w nocy. Po omacku. Pomału przychodziły piły, siekiery, miseczki, lampki. Było wtedy lato i tyle borówek. Na grzybach się nie znałem. Zdarzały się maliny. Dopóki nie nadeszły piły, miałem spokój. Wybierałem sobie polanę w lesie i kładłem się na ziemię. Rzuciałem liście do strumyka. Tak uroczko. Zapominało się. Świerszcze. Bzyki unoszące się nad ziemią. Potem ciemniejący las. Hubka. Rozpalałem ognisko i przypiekałem chleb. Zaczęły przychodzić piły. I siekiery. Zaczęły się krzyki, wołania.

<sup>10</sup>walonki (z ros. валенки) — wysokie, ciepłe obuwie wytwarzane z wołoku (filcowanej owczej wełny), z gumowymi lub skórzanymi podeszwami albo używane jak skarpety, pod obuwie skórzane lub kalosze; noszone podczas mrozów do chodzenia po suchym śniegu. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>stachanowiec — w ZSRR i państwach socjalistycznych; pracownik uczestniczący we współzawodnictwie pracy i znacznie przekraczający wyznaczone do wykonania normy; od nazwiska prekursora takiego współzawodnictwa, Aleksieja Stachanowa (1906–1977), górnika z Zagłębia Donieckiego. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>fufajka a. kufajka (z ros. фуфайка, куфайка) — gruba, watowana, obustronnie pikowana kurtka; zwykle jako ciepła kurtka robocza szyta z drelichu. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>bojce (ros. боец, od бой: bój, bitwa) — szeregowiec Armii Czerwonej. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>baryn (ros. барин) — pan, człowiek należący do klasy wyższej, szlachcic. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>onuca — prostokątny kawałek tkaniny do owijania stopy, chroniący przed zimnem i otarciami od obuwia; dziś onuce zastąpione zostały przez skarpety. [przypis edytorski]

Przechodzi jedna brygada Uzbeków. Wymierają masami. Na gruźlicę w różnych postaciach. Całe osiedle inwalidów w naszym obozie. Plątając się tam, można zarobić na chleb. Sami homo<sup>16</sup>. Ooo, *salute*<sup>17</sup>, Dżafer. Nie płacz. Nie gniewam się. Z tobą to było. Bandażowałem ci wrzód i ty mnie pocałowałeś. I chciałeś. Przeszli, utonęli w zady mce. Orkiestra gra. Nie wiem jak, przecież palce.

Elektrownia szarzeje. Czasem niknie w śniegu. Ciągłe nowe kolumny. Już nie widać ludzi, tylko śnieg i poruszającą się masę. Jest mi zimno, zimno. Myśli mi zamarzają. Stoję, stoję. I stoję. Nowe kolumny. I jeszcze. Idą prosto na mnie, idą przeze mnie. Widzę tylko ich nieogolone wklęsłe twarze. Próbuję ich zatrzymać. Ale oni nie spostrzegają mnie. Idą tak, jakby mnie nie było. Widzę ich, jak umierają.

Zamknęły się olbrzymie wrota. Uciekam do kuchni. Do pierwszej z brzegu. Przez pięć minut nie mogę odtajać. Kapie ze mnie. Potem kosztuję i kosztuję. To też należy do moich obowiązków. Kosztuję pierwszy kocioł, drugi, stachanowski, czwarty. Podpisuję, że się zgadza ze wzorami wystawionymi w witrynie. Potem druga kuchnia, czwarta, w piątej oglądam tylko.

Raz mi dali tu pudełko konserw. Myśleli, że jestem pies, że będę bruździł. Ale już od tego czasu nic nie dali, bo nie jestem pies. Niedołęga jestem. Tylko dają trochę chleba, czasem. A nuż, myślą? Tymczasem idę się golić.

Fryzjer jest dobrze zaopatrzony. Poznaję rzeczy, które są od nas. Wazelina, środki dezynfekcyjne. U fryzjera jest dziesięć krzesel. Czysto wymalowane. Białe chałaty<sup>18</sup>. Flakoniki, z których pachnie. Lustra. Naśladuje, stara się. Dla mnie jest woda kolońska, dobre mydło.

Każdy może iść do fryzjera. Tylko nie wielu ma na to siły, ochotę. Inwalidzi, którzy by tu ciągle siedzieli, bo jest przyjemnie, mają wyznaczone godziny, zresztą nieczęste. Więc odprężenie zupełne. Tacy sami tu pracują, jak na wolności. Gaduły. Tam, na wolności, gołą przeważnie kobiety, a tu nie. Więc gadają. A że on przyjdzie, bo ma czyrak na tyłku. Przyjął oddzielnie. Szef mówi, że potrzebuje dla lepszych gości lanoliny<sup>19</sup>. Zwłaszcza dla naczelnika policji obozowej. Były prokurator moskiewski. Mam dziś z nim spotkanie. Nie lubię go. A że czterech nurków zostało przygniecionych do siatek i że ich próbowali ratować trzy dni, ale w końcu dali spokój. Musieliby zatrzymać elektrownię. Potem, że przyszły nowe maszyny do odmrażania ziemi, ale ich jeszcze nie wyładowano. Stoją na torach i rdzewieją. Aha, bo nie ma do nich przewodów czy tam czegoś. Że teraz będą przywozili betonowe kafle do wykładania kanału. I że, i że.

Próbuję trochę spać. Ale budzi mnie woda kolońska. Biegnę do ambulatorium. O 9.30 przyjęcia. Sekretarz jest przy pracy. Nazywa się Buehler i mówi po niemiecku. Naturalnie pięćdziesiąty ósmy paragraf<sup>20</sup>, jest młody, porusza się z dziwnym wdziękiem ciężko chorych na serce. Ma ładne dłonie. Pytam o Griszę. Jest u naczelniczki, dwudziestoletniej smarkuli. Referuje sprawę tego przybitego członka.

Grisza to jest czterdziestoletni człowiek z kolchozu<sup>21</sup>. Zdefraudował coś. Skazali go na trzy lata. Powrócił, znów zdefraudował. Skazali na pięć lat. Tu, w obozie, nauczył się felczerstwa. Zresztą podczas wojny był sanitariuszem. Dużo wie. Na łysinę to najlepiej zgolić głowę, a potem smarować jodyną. Podobno skutkuje.

Więc z tym członkiem. Wychodzi Olga Pietrowna, za nią Grisza. Olga ma niebieskie, skośne oczy, nieładny nos. Zgrabna. Miłe łydki i kolana. Uśmiechem całą bandę trzyma za pysk. Siedemdziesiąt tysięcy. Jest taktowna i opanowana. Dobiera dobrze ludzi. Stanowcza i mądra. I przy tym dobra. Jak powie „nie”, to tak jakby inny powiedział „tak”.

<sup>16</sup>*homo* (pot.) — skrócenie od: homoseksualista. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*salute* (z łac. *salus*: zdrowie) — wł.: zdrowie, na zdrowie; ang.: pozdrowienie, salut. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*chalat* (pot.) — luźne okrycie, fartuch. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*lanolina* — tłusta substancja otrzymywana podczas czyszczenia wełny owczej, używana jako składnik maści i kremów. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*pięćdziesiąty ósmy paragraf* — potoczne określenie artykułu 58 kodeksu karnego Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, na podstawie którego aresztowano podejrzanych o działalność kontrrewolucyjną; wprowadzony w 1927, zniesiony w 1961; podobne przepisy funkcjonowały w pozostałych republikach składowych ZSRR; więźniów skazanych na podstawie art. 58 nazywano „politycznymi”, odróżniając od kryminalistów. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*kolchoz* (ros. *колхоз*, skrótowiec od *коллективное хозяйство*: gospodarstwo kolektywne) — rolnicza spółdzielnia produkcyjna w ZSRR; kolchozy tworzone pod przymusem w okresie kolektywizacji rolnictwa. [przypis edytorski]

Nie było mi się łatwo dostać do ambulatorium. Musiałem mieć zatwierdzenie naczelnika obozu. Nie wiadomo dlaczego, spodobałem się jej. Wiedziałem, że będę przyjęty. Poddawała mnie z uśmiechem egzaminowi. Gapiała się na mnie, wpatrywała, nie spuszczała oczu, ukośnych, niebieskich. Siedziała w skórzanym fotelu, ja na krześle. Oddzielało nas biurko. No i to, że ona była „wolna”. Dawkowanie pantoponu<sup>22</sup>. Objawy zapalenia płuc i tak dalej. A potem z małym przejściem:

— Zagwizdaj<sup>23</sup> jakieś wasze szlagiery. — Znieruchomiałem jak owad. — No, zagwizdaj, nie bój się, ściany są izolowane.

Zagwizdałem jej *Chłopców z Albatrosa*<sup>24</sup>, *Błękitne niebo*<sup>25</sup>. Gwizdałem może piętnaście minut.

— A umiesz tańczyć?

— Nie.

— Dlaczego?

Zrobiłem się dla niej trochę nieinteresujący, ale uśmiechnęła się i powiedziała:

— No, teraz możesz pracować.

Podawała mi rękę. Jak dobrze to dziś pamiętam. Co robisz po tylu latach, Olgo?

Teraz byłem na prawach wyjątkowych. Nawet naczelnik obozu nie mógł mnie usunąć łatwo.

Zapomniałem, że ona już weszła, a za nią Grisza. Grisza prychnęła, kaszle, ma czerwoną twarz. Więc ja zaczerwieniłem się, że oni idą do tego członka. Myślę: „Dobrze, że nie muszę tam być”. Ale ona mówi:

— Może ty pójdziesz. Ty byłeś w karczerze? No to dobrze. Pójdziemy.

Ona jest w walonkach, przyjemnie ubrana. Idziemy w stronę śniegu, który jest jak jedwab. Ona pyta:

— Czy to prawda, że zwolniłeś pijanego?

— Prawda. Ale on był z milicji. Zastępca naczelnika.

— Powinieneś bardzo uważać.

— Jak mam uważać?

— Słuchaj, ty nie jesteś u nas długo. Sowiecki człowiek wie, nawet w obozie, jak się zachować. A ty nie. Chcesz pracować w szpitalu?

— Chcę, tylko...

— Ja wiem. Tylko nie będziesz mógł... Tak?

— Tak.

— No to zostań w ambulatorium. Tylko nie rób idiotyzmów. Dobrze, że o tym pijanym opowiedział mi Fiedia.

Dmie znad Wołgi.

— Czy to prawda, że wolna siostra Natasza ma się ku jakiemuś ze-ka<sup>26</sup>?

— Prawda. Wszyscy o tym mówią. Że to odbywa się na stole w ambulatorium. Na bardzo niewygodnym...

— Dość. Mówmy o czymś innym. Będę musiała zwolnić Buehlera.

— Dlaczego?

— Rozkaz z góry, że wszyscy z pięćdziesiątego ósmego... Bardzo go lubiłam. Dość.

Popatrzyłem na nią. Dziewczyna z liceum w szkolnym płaszczu. Granatowy z futerkiem na brzegach. Z kołnierzem barankowym. Tylko na głowie skórzana czapka na uszy. Skośne, niebieskie oczy.

<sup>22</sup>*pantopon* (med.) — sztucznie otrzymywany narkotyczny środek przeciwbólowy otrzymywany z różnych alkaloidów zawartych w opium, wynaleziony w 1909. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*zagwizdaj* — dziś popr.: zagwizdź. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*Chłopcy z Albatrosa* — właśc. *Pięciu chłopców z Albatrosa* (1936), popularna piosenka napisana przez Feliksa Konarskiego. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Błękitne niebo* — popularne przedwojenne tango *Blauer Himmel* (1936) niem. kompozytora J. Rixnera, śpiewane w Polsce ze słowami Mariana Hemara jako *To samo niebo*, znane też pod tytułem *Błękit nieba*. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*ze-ka* — czytany po rosyjsku skrót *з/к*; skrótowi tego używano w oficjalnych dokumentach radzieckich od końca lat 20. do końca lat 50. XX w.; pochodził od *заключённый каналармееи*, tj. więzień budujący Kanał Białomorsko-Bałtycki, później był stosowany w odniesieniu do wszystkich więźniów; słowo częściej występujące w postaci „zek”. [przypis edytorski]

— Aha, asenizatorzy<sup>27</sup> sprawują się dobrze? Podczas twoich dyżurów?

— Dobrze. Teraz jest... — nie wiedziałem, jak po rosyjsku powiedzieć „kał” — zamarnięty i tylko trzeba go odrąbywać.

— „Gówno”, chciałeś powiedzieć.

— Tak.

— Ja nie mam czasu chodzić do latryn. Polegam na tobie. A baraki sto trzydzieści dwa, sto trzydzieści trzy zostały wygazowane?

— Tak. Inwalidzi musieli się skupić.

— Naturalnie, że musieli. Chodzą przynajmniej porządnie do łaźni?

— Niektórym w zimie się nie chce. Uzbęcy marzną strasznie.

— Niech marzną, ale muszą. Powiesz dziennemu dyżurnemu.

— Oni dostają po łaźni często zapalenia płuc.

— Niech dostają. U mnie nie śmie być wszy ani pluskiew.

Inwalidzi, którzy nago marzną w łaźni. Czekają na ubranie w dezynfekcji. Czują, że mam jakieś zastrzeżenia.

— Czy ty myślisz, że mnie nikt nie pilnuje? I tak powinno być. Ja mówię tak z tobą, bo ty jesteś zachodni.

Podeszliśmy pod wrota karceru, które się elektrycznie otworzyły. Naczelnik:

— Melduję, że Achmatow odmówił pójścia do pracy i przybił sobie...

Ona machnęła ręką:

— Prowadźcie.

Ponura cela, oświetlona żarówką. Z judaszem. Ten Achmatow — brodaty chłop. Potężny i chudy.

— No, Achmatow, co ty wyczyniasz?

Achmatow milczy, kiwa głową jak wahadłem. Porusza grdyką. To nie jest kanciarz, ooo, nie.

— Achmatow, obywatelka naczelniczka...

Olga przerywa karcerowemu. Widać, że Achmatow jest jeszcze nieprzytomny z myślenia. Że myślał całą noc. I jeszcze wiele innych. I przybił sobie. Groźbami nic się nie wskóra. Dałby się posiekać. Mruga oczami. Ona wskakuje na prycze, na drugie piętro. Siada obok niego. Mówi karcerowemu:

— Wyjdź!

Po tym bierze do ręki jego olbrzymią głowę. Przestaje nią kiwać, jest zbudzony. Patrzy na nią nieprzytomnie. Ona mówi:

— Jak ci nie wstyd?

On zakrywa czołonek ręką.

— Za co tu siedzisz?

— Pajdkę chleba skradłem. Nie chciałem wyjść do pracy.

— No, wyciągnij ten gwóźdź.

On wie, że jak wyciągnie, to wszystko się zacznie od początku. Ona, zgadując myśli, pyta:

— Na jak długo?

— Trzy lata. Kułak<sup>28</sup>, kułak.

— Jak długo siedzisz?

— Dwa lata.

— Durniu, za rok wyjdiesz.

Ale w nim jest chłopski upór. Ona dodaje:

— Ja sama wyciągnę.

On chwyta prycze w dłonie i zaczyna ryczeć. Nie z bólu. Prycza trzaska pod jego rękami. Ryczy jak bawół. Ona tymczasem wyciąga gwóźdź. Patrzy, jak bardzo zranione jest miejsce. Potem zeskakuje z pryczy. Do mnie:

<sup>27</sup> *asenizator* — osoba zajmująca się usuwaniem nieczystości z dołów kloacznych i wywożeniem ich. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *kułak* (z ros. кулак: pięść) — bogaty chłop rosyjski zatrudniający w swoim gospodarstwie pracowników najemnych; w ideologii rewolucyjnej kułacy byli wrogami klasowymi jako wyzyskiwacze; w ZSRR za kułaków, a tym samym za wrogów ludu, uznawano chłopów niechętnych władzy lub stawiających opór przy przejmowaniu ich ziemi przez kolchozy w okresie przymusowej kolektywizacji wsi (1929–1934). [przypis edytorski]



— Zrób opatrunek.

On dalej ryczy, aż karcer się trzęsie. Ile miesięcy jego powolnego buntu poszło na marne. I bezcelowego w gruncie rzeczy. Olga woła:

— Achmatow! Milcz!

Achmatow pierwszy raz patrzy na nią przytomnie. Spojrzenie jego mięknie. Zaczyna płakać bezgłośnie. Ona mówi:

— A następnym razem tylko milicja ci pomoże! Achmatow! Pamiętaj!

I wychodzi z celi. Nie, wraca.

— Zajodnyj mi...

Pokazuje trzy palce głęboko zranione. On postarał się, aby gwóźdź był dobrze wbity. Zrobiłem opatrunek i wychodzę. Ona mówi do karcerowego:

— Ja już sama z milicją...

Potem wychodzimy na śnieg. Marszczy dziecinnie czoło:

— Przynieś mu sulfamidy<sup>29</sup>.

Interesują ją nadal asenizatorzy. Czy dostają mleko? Nawet nurkowie nie dostają mleka. Jest stado krów w naszym miasteczku-obozie. Elektrownię znów pokryły mgły. Już jest dziewiąta. O 9.30 przyjęcia, dla zwolnionych i nocnych brygad. Przechodzimy koło baraku stachanowców. Złudzenie? Gramofon. I *Scherzo Mendelssohna*<sup>30</sup> z *Flierem*<sup>31</sup>. Postanowiłem tu wrócić, jak będę miał czas. Ale nie miałem go nigdy. Więc nie dowiedziałem się, czy to była halucynacja. Znów zadymka, ale taka, że się nie widzi na dwa metry. Wróciła do ambulatorium jak lalka: czerwone od mrozu policzki, biała skóra, usta nieprawdopodobnie purpurowe. Wróciła do gabinetu, w którym mnie egzaminowała i poprosiła Buehlera. Na drugi dzień już go nie było. Został przeniesiony do wszystkich z pięćdziesiątego ósmego, których wysłano na etap<sup>32</sup>.

Mamy pięciu internistów i jednego wenerologa. Dentysta jest też. Wania, Pietia i dwóch innych przygotowują opatrunki. Ja i Griszka numer dwa przygotowujemy lekarstwa. Dentysta służy przeważnie do robienia złotych zębów na przodzie. Jest taka moda, która przyszła z Moskwy. I dostojnicy łagrowi<sup>33</sup> dają sobie robić złote zęby. Na przykład kierownik od żarcia szpitala. Przychodzi kobieta z dzieckiem, aby dać jej watę. Przychodzi od fryzjera, aby mu dać wazeliny. I trochę spirytusu, który jest tak potrzebny. Denaturatu, naturalnie. Przychodzi lekpom<sup>34</sup> ze szpitala, aby mu dać kodeiny<sup>35</sup>. Narkotyzuje się i jest bardzo sympatyczny. Robi małe operacje sam. Nawet nieskomplikowaną ślepą kiszkę. Po trzech dniach chory już chodzi. Wtem posłaniec od Olgi, żebym przyszedł. Grzebie się w jakichś statystykach. Mówi, nie podnosząc głowy:

— Był telefon z punktu sto dwadzieścia sześć. Coś się stało, tam gdzie pracują Polacy. Najlepiej będzie, jeśli ty pójdziesz.

Znałem punkt 126. Tam była sympatyczna, ciepła chatynka i lekpom, który częstował zawsze herbatą. I czasem chlebem.

— Ale szybko — dodaje Olga.

Chleb dostawał za zwolnienie od przychodzących na robotę. Miał prawo. Więc biegną do punktu 126, który był po drugiej stronie Wołgi. Tam, gdzie kopano kanał i miały być śluzy. Daleka droga. Ciągłe szyny kolejowe, rozplatające się jak dłonie. Potem traktor. Ciągnie olbrzymie drzewo. Potem znów szyny. Dużo szyn. Z wagonami. Biegną i myślę,

<sup>29</sup>sulfamidy, właśc. sulfonamidy (med.) — grupa syntetycznych leków antybakteryjnych (odkryte w 1932, wprowadzone do lecznictwa w 1934, nagroda Nobla w 1939); obecnie stopniowo wycofywane na rzecz bezpieczniejszych i skuteczniejszych antybiotyków. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Mendelssohn-Bartholdy, Felix (1809–1847) — niemiecki kompozytor, pianista i dyrygent okresu romantyzmu. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Flier, Jakov (1912–1977) — pianista rosyjski, wykonujący gł. muzykę romantyczną. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>etap (daw.) — miejsce postoju w czasie podróży; w carskiej Rosji: miejsce z barakami noclegowymi, gdzie przetrzymywano eskortowanych na Syberię skazańców po dniu podróży; czasem także przen.: zsyłka. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>łagrowy — obozowy; przym. od łagier (ros. лагерь: obóz), obóz pracy przymusowej w Rosji radzieckiej i w Związku Radzieckim. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>lekpom (ros. лекпом, skrótowiec od лекарский помощник) — pomocnik lekarza, felczer. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>kodeina (chem., med.) — metylomorfiny, związek chem. otrzymywany z opium lub syntetycznie z morfiny, stosowany jako środek przeciwbólowy, przeciwkaszlowy i przeciwbiegunkowy; w większych dawkach wywołuje euforie, dłuższe stosowanie powoduje uzależnienie. [przypis edytorski]

że nie zdążę dziś do naczelnika obozu. Będę musiał znów czekać tydzień, a każdy dzień jest tu napięty. Wreszcie jestem nad brzegiem Wołgi. Tu kursuje kolejka linowa, która przewozi ziemię. Spieszę się, więc proszę lekpoma tutejszego, aby mi zorganizował kolejkę. Z hukiem wlatują wagoniki do hali. Przewracają je. Wysypują ziemię. Ja mam też jechać takim. Wsadzają mnie. Rrrrr. Gwałtowne szarpnięcie. Wszystko maleje jak przy jeździe samolotem. W końcu znajduję się nad Wołgą. Wagoniki jadą szybko. Nie są obliczone na ludzi. Przy tym kołyszają się. Trzymam się ścian i poręczy. W górze jest wiatr. Nie oddałem walonek Wani. Przejeżdżam nad elektrownią, wysoko. Gdyby nie było zadymki, tobym się napatrzył. Jestem otulony mgłą. Wtem wagonik staje. To może trwać godziny, jak jest poważna naprawa. Wiszę pośrodku Wołgi. Chcę robić gimnastykę, ale wagonik jest za mały. Można w nim jechać w pozycji embrionalnej. Tylko. Na górze jest wiatr. Zamarznę. Trę sobie policzki. I uszy. I nos. Nareszcie rusza. Tak gwałtownie, że o mało nie spadłem. Robi „zzzz” i zatrzymuje się w hali. Nie mogę wysiąść. Muszą mi pomóc. Jestem trochę nieprzytomny. Prowadzą mnie do punktu 126. Przed punktem widzę, co się dzieje.

Nie dostali łopat. I rydli. Rozpalili ogień. Z przodu jest zbyt gorąco, a z tyłu za zimno. Skakali jak małpy. Duże ognisko. Jest zimniej i zimniej. Chciałoby się wejść do ognia. Mój krawiec to zrobił. Najpierw zaczął tańczyć wokół ogniska. Potem wszedł. I zapaliło się na nim ubranie. On dalej tańczył. Płonąc. Elektrownia była nierealna, nakreślona ołówkiem. Tańczył na tle elektrowni swój ognisty taniec. Mały krawiec z miasteczka. Potem lano na niego wodę. Potem zamarzł, jak żona Lota. Nie mógł wykonać ruchu. Ale był ogień. W lodowej skorupie, w ogniu, niczym święty. Spacerował. A cała brygada dostała bzika i wokół niego. Tańczyli taniec. Bum-bum, jak Murzyni. Wchodzę do ogniska i cap za krawca. Przysmolilo mnie trochę. Krawiec, który nigdy nie płakał. Teraz nie płacze też. Ma skupioną minę, jakby szukał czegoś w ognisku. 126. Dostaję czaj<sup>36</sup>, mój krawiec je śnieg. To lepiej niektórym zaspakaja pragnienie. Wani zabrałem walonki węglem i ziemią. Polecam go opiece lekpoma 126 i wracam. Niech sobie poleży biedaczek. Tu jest ciepło. A brygada tańczy dalej wokół ognia. Znów wsiadam do wagonika, do kolejki linowej i wlatuję z gwizdem do hali. Wypadam z wagonika jak ziemia. Leżę. Jestem bardzo śpiący i chciałbym tak leżeć. Ale mnie podnoszą. Widziałem maszyny do odmrażania ziemi. Jest 9.30. Muszę spać. Widziałem kobiety na robocie. Kuchną. Jest trochę jaśniej. Elektrownia jest wyrysowana pastelą. Pani życia. Kanał nie będzie gotowy przed wiosną. I olbrzymie betonowe kafle. Zajmują cały wagon, na którym jest napisane: „12 ton”. Nikt tego nie podniesie. Chyba amerykańskie dźwigi. Idę, kiwając się, do ambulatorium. Idę zdać sprawozdanie Oldze. Ale już telefonowali i nie potrzeba. Olga mnie zwalnia na dwie godziny. Do baraku. Tam generał mówi o Niemcach. Jest chory. Wokół niego wielu ludzi zwolnionych z pracy. Nie ukrywa swej nienawiści do tej Rosji. Ma „Prawdę”<sup>37</sup>. Nie wiadomo skąd. Naturalnie pięćdziesiąty ósmy. Ufa Niemcom. Cała nadzieja w nich. Chodzi na chirurgiczny. Robi strategiczne plany. Od razu usypiam. Mam się dziś zobaczyć z wieloma ludźmi. Przez sen myślę, że generała tu już jutro nie będzie.

W obozie ludzie spotykają się jak meteory. Ludzie mieszeni jak piasek. Jest. Jutro nie ma. I w obozie jest swobodniej niż na swobodzie. Trochę swobodniej. Nie musi się tak uważać. A ile lat się siedzi, to prawie nieważne. Dla nas to tylko ważne. Dla nas — Europejczyków.

Za pół godziny wstaję. Muszę. Złazę z mojego drugiego piętra i przemywam oczy wodą. W baraku jest dość ciepło. Zbudowany z desek, między które nasypuje się piasku lub ziemi. Ciepły i ciemny, co się kojarzy. Zresztą pali się żarówka, która mówi o elektrowni. Staram się wyglądać możliwie. Idę do kobiecego baraku. Myję zęby mydłem. Włosy mi trochę odrosły. Mam polski szynel<sup>38</sup>. Wkładam go. Odchyłam nauszniki. Z walo-

<sup>36</sup>czaj (ros. чай) — herbata. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>Prawda (ros. Правда) — główna gazeta codzienna w ZSRR, organ prasowy Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego i jej poprzedniczek (wyd. od 1912). [przypis edytorski]

<sup>38</sup>szynel (z ros. шинель) — wełniany płaszcz o wojskowym kroju. [przypis edytorski]

nek Wani, okazuje się, można zeszkrobać sadzę. I niosę prezent: błękit metylowy<sup>39</sup>, który farbuję na piękny, niebieski kolor.

Kobiety do dwóch miesięcy mogą karmić dziecko. Potem idą do roboty. I w czasie ciąży mają pewne ulgi. Niektóre starają się być w ciąży. Niektóre trują się jodyną. Niektóre wywołują chininą<sup>40</sup> poronienie. Skakaniem, diabli wiedzą czym. Ta, którą mam odwiedzić, poroniła. Baraki żeńskie są otoczone wysokim drutem kolczastym. Wartownik przepuszcza bez trudności.

Wchodzę do baraku. Pierwsze wrażenie: papużki w klatkach. Są oddzielone kocami. Mają prycze trzypiętrowe. I co za konkurs barw, wycinanek. Jak drzewko. Wielkie wciągnięcie oddechu. Inny świat. Życie nieprzeczuwalne tuż obok. Tyłu kolorów dawno nie widziałem. Każda ma małą witrynę. Z papieru, ze szmat kolorowych. Jest tak ciepło, że kręcą się nie bardzo ubrane. Tego bardzo dawno nie czułem, kobiecego świata.

Nie umiem jakoś żyć wśród mężczyzn. Na ogół nie mam znajomych. Najlepiej rozmawia się z kobietami. Z każdej da się wydobyć jakąś historię. Choćby była najgłupsza. A tu nagle sami, sami mężczyźni. I dotykają. Wytworzyła się warstwa ochronna: otepienie.

Ta, którą miałem odwiedzić:

— Natasza, Natasza.

Natasza wychyla się z jednej z klatek na drugim piętrze i pyta:

— Co?

Ma na sobie zieloną kombinezkę<sup>41</sup>. Więcej nic. Jest jeszcze osłabiona. Schodzi pomału i uśmiecha się.

Była w ambulatorium pomywaczką i z nią Wania. W małym pokoiku, w nocy. W pokoiku, w którym mogło stać tylko łóżko. Nic więcej.

Więc ona schodzi ostrożnie. Jak dawno nie widziałem ramion i ud kobiet? Nie, to nie jest pożądanie. Tylko, tylko... Już wiem. Uchwyciłem zachwianą równowagę. Renoir<sup>42</sup>. Degas<sup>43</sup>.

Ona ma dwadzieścia dwa lata, chłopięce włosy i zdziwione usta. Podaję prezent. Właściwie nie wiem, po co przyszedłem.

— Wania kazał cię pozdrowić. I odwiedzić. I prosił spytać, czy go jeszcze lubisz.

— Lubienie... Serca nikt nie zmieni. Mnie dobrze bez niego. Za to dziękuję. Czy ty wiesz, że mamy dostać nowe koszule? Będzie taka błękitna...

— Mnie pożyczysz na szalik, dobrze? — Wysunęła się jakaś głowa z klatki. Całkiem młoda.

— Wania będzie się bardzo martwić. Co mam mu powiedzieć?

— Że... że skończyło się samo.

— Nie chcesz wrócić do nas?

— Nie... Robota była dobra... Ale nie. Bo wszystko zaczęłoby się od nowa. Nie, zresztą ją będę pracować w kuchni.

Tkwiał za tym jeden szewc z Polski. Szewc to była figura. Dwieście kilometrów jeźdżono do niego.

— A więc?

Nie chciało mi się wychodzić.

— Zostań jeszcze.

Różowe światło. Wycinanki w oknach. I kobiety, przeglądające się w szybach. I kobiety, myjące się w balii. Wysuwają się głowy z papierowych zasłon, z rolet przeźroczystych,

Kobieta

<sup>39</sup>*błękit metylowy* (chem.) — błękit anilinowy, barwnik stosowany do wybarwiania preparatów biologicznych; tu zapewne raczej: *błękit metylenowy* (chlorek metylojoniny), po rozpuszczeniu w wodzie dający niebieski roztwór działający silnie antyseptycznie, stosowany do odkażania skóry i ran, daw. także doustnie w stanach zapalnych i zakażeniach układu moczowego. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*chinina* — lek przeciwmalaryczny w postaci białego, gorzkiego proszku otrzymywanego z kory chinowca. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*kombinezka* (daw.) — jednoczęściowa bielizna damska, halka przedłużona doszytymi szortami. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*Renoir, Auguste* (1841–1919) — malarz i rzeźbiarz francuski, jeden z czołowych przedstawicieli impresjonizmu. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*Degas, Edgar*, właśc. *Hilaire-Germain-Edgar de Gas* (1834–1917) — wybitny francuski malarz i rzeźbiarz impresjonistyczny. [przypis edytorski]

żółtych (atebryna<sup>44</sup>), niebieskich (błękit metylowy), zielonych (brylant gruen<sup>45</sup>) i czerwonych, które jest trudno zdobyć (czerwona aseptyna<sup>46</sup>). I wstążki. Jak na jarmarku. Tylko kobiety. Myją się. Przebierają. Oczekują kochanków, kochanków możnych, którzy je zwalniają od pracy. Zamykam oczy. Pomału otwieram. Jestem chłonny jak gąbka. Wszystkimi porami — wchłaniam.

— A jaki to jest płaszcz?

— Szynel polski.

— Dowiozłeś go tu.

— Dowiozłem.

Wywołuje zawsze zainteresowanie.

— No, dzieci, muszę już iść.

Wyszedłem. Dałem pajdkę chleba wartownikowi. Był inwalidą i Kałmukiem. Miał inne zainteresowania. Nie kobiety. Wracalem przez szary świat. Pozbawiony koloru i wpadnięty. Staralem się nie myśleć o papużkach.

Wróciłem na przerwę. Grisza z gorączką. Bandaże porozrzucane. Nieład. Pusto. Tylko telepie się stara Aleksiewna Pietrowna<sup>47</sup>. Lekarka. Grisza jest chłopiek-roztropek. Siadam obok niego. Leży na tapczanie, gdzie leżą chorzy.

— No i jak?

— Jak się nazrę, to mi będzie lepiej. Idź do kucharza dziewiątego, tego z jednym okiem, i powiesz mu, że ja, Grisza, leżę chory. I ty się przy tym pożywisz. Idź, *molodiec*<sup>48</sup>. A jak nie, to tu zdechnę. Tylko żarcie pomaga.

Kuchnia dziewiąta jest blisko. Wchodzę i szukam szefa. Jest. Świdruje mnie jednym okiem. Tracę rezonans<sup>49</sup>. Jeszcze bardziej świdruje. Mówię mu:

— Griszka chory...

— Co?

Udaje, że głuchy. To mu sprawia przyjemność. Podchodzę bliżej:

— Griszka chory...

— Coś tu tak, ale nie tak.

Jeszcze się bardziej zmieszałem.

— Coś tu tak, ale nie...

Podniósł swoją białą myckę i odkrył łysinę ogromnych rozmiarów, z myszką. Potem usiadł i ukazuje to wnętrze, to górę swojej dłoni. Wyraża w ten sposób wątpliwość. Ja po raz trzeci:

— Griszka chory, może jakieś jadło.

Odsunął mnie od siebie.

— Przecież nie jestem głuchy. Słyszałem. Słyszałem. A to się coś wykombinuje.

I dał mi puszkę z mięsem. I makaron kazał zagrzać.

— Na. Griszce polepszenia.

Robi kiks.

Patelnia z makaronem o średnicy metra. Puskę czuję w kieszeni. Makaron tłusty, przyrumieniony. Griszkę poderwało. Lancetem otwiera puszkę. I całą patelnię. Mruczy

<sup>44</sup>atebryna (med.) — nazwa handlowa mepakryny, syntetycznego preparatu przeciwmalarycznego, stosowanego także do zwalczania tasiemca. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>brylant gruen, spolszczone niem. *brillant grün* (chem.) — zieleń brylantowa, organiczny związek chemiczny używany do barwienia wełny i jedwabiu; w ZSRR powszechnie stosowany także w lecznictwie, jako środek antyseptyczny do dezynfekcji skóry i ran, pot. nazywany „zielonką” (ros. *зеленка*). [przypis edytorski]

<sup>46</sup>czerwona aseptyna — opisowe określenie środka antyseptycznego, zapewne fuksyny lub pigmentu Castellaniego, preparatu złożonego z fuksyny, fenolu, kwasu borowego i rezorcyny, o działaniu grzybobójczym, silnie odkażającym i przeciwzapalnym; fuksynę stosuje się także jako czerwony barwnik do wyrobu farb, atramentów oraz do barwienia papieru i włókien naturalnych; aseptyną nazywano dawniej roztwór kwasu borowego, od nazwy handlowej kwasu borowego produkowanego w Szwecji od 1868 i sprzedawanego jako środek konserwujący i antyseptyczny. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>Aleksiewna Pietrowna — zapewne bł. druku, gdyż w ros. nie ma imienia „Aleksiewna”, być może powinno być: Aleksandra Pietrowna. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>molodiec (ros. *молодец*) — zuch. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>Tracę rezonans — popr.: tracę rezon, tj. pewność siebie, śmiałość. [przypis edytorski]

jak niedźwiedź. Kicha. Kaszle. I dalej mruczy. Jak dotarł do połowy patelni, to zamyslił się:

— Tak to, tak.

I ze smutkiem w oczach zaczął dalej. To oznaczało, że dla mnie nic nie zostanie. W sterylizatorze ugotowałem ziemniaki. Okrasilem tranem. Sól mam zawsze przy sobie. I jadłem. Grisza spojrział na mnie i wykrztusił:

— No, przecież.

Skończył jeść i musiałem nosić patelnię z powrotem. Griszka odwrócił się do ściany i śpi. Sanitariusze sprzątają. Myją podłogi. Podnoszą bandaże z ziemi. Zamykają pudełka. Zakorkowują flaszki. Jeden, patrząc na mnie, pije *ferrum pomatum*<sup>50</sup>.

— Dobrze, słodkie jak wino — mówi.

Grisza nagle odwraca się, spogląda jednym okiem, potem buch, śpi.

— Dość, mordo — mówię.

Przestał, popatrzył na mnie:

— Ja na woli<sup>51</sup> elektrotechnik — powiada.

Szoruje podłogę.

— Ja na woli elek...

— To co z tego?

Wybucha śmiechem.

— Zgadnij, na ile mnie zasądziłeś? Zgadnij. Za dwa i pół metra drutu. A ja jeszcze dołożyłem swojego metra.

Poza tym przewraca gałami.

— Wiesz, ile ja metrów nakradłem?

Oblicza, oblicza.

— Trzy kilometry, może cztery. Sam nie wiem.

I szoruje podłogę.

Zaczynam pomału przygotowywać bandaże, mikstury. Na różnej wielkości gazy kładę stereotypowe maści. To się robi tysiącami. Przychodzi Pietia. Robi to samo, co ja. Potem Wania. Przygotowuje lewatywę, próbówki do opadania krwi, sterylizuje strzykawki. Na morfologię. Analiza moczu. Schodzą się lekarze. Cztery kobiety. Zaczyna być gwarno. Lekarze wypisują zlecenia na skrawkach papieru. Potem chory przychodzi do mnie. Ja mu robię to i owo. Nauczyłem się robić opatrunki szybko i żeby nie spadły. Trzysta, czterysta opatrunków w ciągu wieczora. To jest coś. Wania robi byle jak. Podłogi wyszorowane. Wszyscy w białych kitlach. Jak toreadorzy. Tam, w poczekalni, szum, gwałt, kłótnie, bójkę. Grisza śpi.

— No — mówię — wstawaj do roboty.

Olga przechodzi przez poczekalnię. Poczekalnia uspakaja się, jak morze. Potem znów przyska do góry. Idę do Anny-lekarka, aby zwolnić jednego. Aby go posłać do szpitala, że niby ma świerzb.

— Dobrze — powiada.

Jest to mała i młoda. Skończyła przed miesiącem akademię medyczną. Niedużo umie. Jest pełna najlepszych chęci. Ma śliczne walonki.

— Już na mnie czas — mówię.

Wracam. Olga wchodzi do nas.

— Wszystko w porządku?

— Tak, tak. Otwierać drzwi.

Wpada hurma. Jak byki. Grisza:

— Tylko z kartkami, tylko z kartkami.

Lekarz

<sup>50</sup>*ferrum pomatum* a. *ferrum pomatum* (lac., med.) — jabłczan żelazowy, dawny preparat żelazowy stosowany jako środek wzmacniający przy leczeniu niedokrwistości, otrzymywany przez działanie soku jabłkowego na opiółki żelaza. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*na woli* — tu żarg.: na wolności. [przypis edytorski]

Teraz zaczyna się robota błyskawiczna. Bandaże na pachwinę. *Adonis vernalis*<sup>52</sup>. Środek rtęciowy na opuchliznę. *Digitalis*<sup>53</sup> tylko leżącym. (Ci, co twierdzą, że leżą). Różne rozmiary bandaży. *Ung. Hydr. Prec. Albi*<sup>54</sup>. Zamiast jodiny brylant gruen. Czasem sulfa<sup>55</sup>. Rzadko szpital. Odmrożenia. Gnijące palce, nosy. Lewatywa. Zastrzyk arsenu. „No, spuszczać spodnie”. Zanim tamten, robię dwa opatrunki. Sanitariusze gotują strzykawki. Uwaga, zastrzyk dożylny. Na szczęście ma żyłę. Trafiam z łatwością. Opatrunek-czapka. Z bandaży. Cuchną ciała. Pot. Lewatywa znów. Ten myśli, że to się bierze doustnie. „Spuszczać spodnie”. Patrzy na mnie zdziwiony. Nie wie, co mu chcę zrobić. Równocześnie robię opatrunek łokcia. Łokieć i kolano. Żeby się trzymało. Przez cały dzień pracy. Tego z lewatywą muszę uczyć pozycji na boku, kolana zgięte. Opadanie krwi. Nakręcam zegar. Wbiega kobieta i ryczy. Trzyma się za brzuch. Z nią Wania. Dalej ryczy. Robię bandaż stopy. Najczęściej otarcia. Dalej ryczy. Wania pantopon. Mówię: „Zaczekaj”. Ale Wania już. Bizmut na biegunkę. Nic nie pomaga. Poznają pismo Anny-lekarka. Ta, która ma posłać na wagary. Daję do picia rivanol<sup>56</sup>. *Ferrum pomatum*. Ulubiony napój chorych i zdrowych. Po starych bandażach się już chodzi. Coraz to bardziej czuć ropą. Wyciągam z karbunkułu<sup>57</sup> czop. *Parametritis*<sup>58</sup>. Odsyłam do wenerologa. Pod koniec jest się zacządzonym. Karbunkuł duży jak dłoń. Potem jodynuję. Podskakuje do góry, syka. Za to robię bardzo ładny opatrunek na tyłku. Załatwiony. Tymczasem coraz mniej widać, coraz bardziej czuć. Grisza wymiotuje. Kurza ślepota. Dajemy dużo witamin z jodeł<sup>59</sup>. Tak trzy, cztery, pięć godzin.

W międzyczasie widzę pana, starannie ubranego. Czeką. Chce czopki i chce, abym go odwiedził. Jeszcze dziś. Barak techników nr 226. Mówi inaczej po rosyjsku. Prawdopodobnie lepiej. Żegna się.

— Mam nadzieję, że jeszcze dziś poczęstuję pana herbatą. Zapewniam, że jest dobra.

Zabiera swój wyjątkowo porządny kociołek. Kłania się. To rzecz niezwykła. Zakrywa go znów tyłek proszący. Zapamiętuję pana. Zwykle poznają ludzi po częściach ciała. Zapalają światło. Czuję, że moje ręce robią skomplikowane ruchy. Precyzyjne nawet. Ambulatorium jest pełne oparów, smrodu. Chciałoby się położyć na bandażach i usnąć. Byle spać. Nie ma się nawet siły do krostowatych, opuchłych, śmierdzących. Do porwanych i żółtych. Jeszcze jeden i jeszcze, i jeszcze. W końcu Wania zamyka drzwi i mówi:

— Dość.

Grisza natychmiast kładzie się na kozetkę. Mówię:

— Posuń się.

Leżę i myślę. O tym, jak to było w obozie leśnym. Było bez porównania ciężej niż tu. A jednak. Chodzili pod latrynę zbierać główki od śledzia. I ssali je. Do szpitalika nie można było wejść. Tak cuchnęło sześciu chorych na flegmonę. Nie było sulfy. Byli beczkowaci, coraz bardziej puchły kończyny. Przypominało *elephantiasis*<sup>60</sup>. A jednak. Zwłaszcza jesienią. Wpadłem do jamy w lesie na bagniskach. Psy mnie odszukały. Nie

Lekarz

<sup>52</sup>*Adonis vernalis* (bot.) — młok wiosenny, roślina z rodziny jaskrowatych używana jako surowiec zielarski; ziele młoka jest stosowane w przewlekłej niewydolności krążenia i miażdżycy naczyń wieńcowych: działa silnie, szybko i krótkotrwałe, usprawniając pracę serca i poprawiając krążenie krwi, wykazuje również działanie uspokajające i moczopędne. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*Digitalis* (bot.) — napastrnica, roślina z rodziny babkowatych używana jako surowiec zielarski; ziela napastrnicy od XVIII w. używano w leczeniu niewydolności krążenia pochodzenia sercowego, obecnie wyłącznie pod kontrolą lekarza ze względu na silnie toksyczne właściwości glikozydów i możliwość kumulowania się w organizmie; stosowana także przy osłabieniu serca po chorobach zakaźnych, przy zastojach płucnych połączonych z nieżytem oskrzeli oraz jako lek moczopędny, w efekcie zmniejszający obrzęki. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*Ung. Hydr. Prec. Albi* (med.) — skrócony zapis zwyczajowej łac. nazwy preparatu *Unguentum Hydrargyri praecipitati albi*, białej maści rtęciowej, antyseptycznej, przeciwzapalnej i przeciwpasożytniczej, dawniej szeroko stosowanej w leczeniu wielu chorób skóry, gł. grzybicy. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>sulfa — skrócone: sulfamidy, sulfonamidy. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>rivanol (med.) — handlowa nazwa roztworu mleczanu etakrydyny, środka bakteriobójczego do odkażania skóry i ran. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>karbunkuł (z łac., med.) — czyrak gromadny, zapalenie kilku lub kilkadziesiątu pobliskich torebek włosowych z dużym naciekiem ropnym, spowodowane zakażeniem gronkowcowym. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>parametritis (łac., med.) — zapalenie przymacicza (*parametrium*). [przypis edytorski]

<sup>59</sup>Dajemy dużo witamin z jodeł — więźniowie rosyjskich i radzieckich obozów pracy często zapadali na chorobę nazywaną „cyngą”, tj. na szkorbut, wywoływany niedoborem witaminy C w pożywieniu. Starano się temu przeciwdziałać, zalecając picie gęstego wywaru z igieł sosnowych, jodłowych i świerkowych. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>elephantiasis (łac., med.) — słoniowaczka, choroba polegająca na patologicznym zgrubieniu kończyn, głównie nóg. [przypis edytorski]

mogłem złapać kierunku. Tonąłem w błocie. Potem przyszły mrozy. Zrywałem owoce dzikich róż. Były słodkie. Bałem się, że zapomnę, jak się nazywam. Zapisałem sobie na korze brzozonej. Poprzednio spytałem kilku znajomych: „Jak się nazywam?”. Ich odpowiedzi były zgodne. Z wyjątkiem jednej. Korę nosiłem przy sobie. Ludzie pili słoną wodę litrami. Puchli i byli zwolnieni. Ale umierali często. Na ostre zapalenie nerek. Już, już wstaję. Idę do baraku techników. Pan mieszka na drugim piętrze. Zauważa mnie.

— Zaraz proszę. Nie mogę pana przyjąć. Muszę włożyć czarne ubranie.

I zmienia szare ubranie, związane sznurkami, na czarne. To czarne jest bardzo stare. Pan ma lat sześćdziesiąt i jest w jego zachowaniu jakaś inność. Przedstawia się:

— Jestem Igor Aleksandrowicz Jasienin.

Potem zaprasza mnie na górną pryczę. Przygotował keksy z serem. Biegnie po gorącą wodę. Zaparza czaj. Grzebie w kieszeniach czarnego ubrania (które okazuje się smokin-giem) i wyjmuje małą fotografię:

— Oto moja mamusia.

— Gdzie mieszka?

— W Leningradzie.

— Czy żyje?...

Przestraszona twarz, że mogłaby nie żyć.

— Żyje, żyje, chwalić Boga.

Nagle przejście:

— Ja nie miałem kobiety w swoim życiu. Czytałem *Śmierć w Wenecji*<sup>61</sup>. To ostatnia książka, jaką mogłem dostać. Wasili ze szpitala zdradził mnie. Pamiętam... pamiętam, gdy byliśmy razem w łaźni. On ma takie ładne ciało. Wtedy nie był lepkomem. Dopiero potem, gdy ja prosiłem za niego. Inteligentny chłopak. Ma maturę.

— W jakim języku czytał pan...

— Po niemiecku. Znam też francuski.

Rozmawiamy po niemiecku.

— Co pan tu robi?

— Dostaję kocioł szpitalny, uprawiam w lecie ogródek. Poza tym nic. Ale teraz ma się zmienić naczelnik obozu. Przyjdą ciężkie czasy. Bo on mnie nie zna.

Milczenie.

— Słuchaj, chłopcze... Czy... czy nie znalazłby się chętny? Może ty? — Zaprzeczyłem głową.

— A inni?

— Spróbuję.

— Bardzo proszę. Ja nie miałem w życiu kobiety.

Zaczął opowiadać o przyjęciach z poprzedniej wojny u księżnej Czerkaskiej... I tam grał na fortepianie mały chłopak, syn księżnej.

— To on zdaje się występował w Polsce...

— Tak??

Zamyślił się.

— No, ja muszę iść — powiedziałem. — Mam dziś dyżur nocny. Aha, czy uważa pan za możliwe zdeformowanie stosunków w Rosji?

Namyślił się.

— Nie.

Pauza.

— Nie, nie. Wiem, o co panu chodzi. Tak jak Kafka<sup>62</sup>. Nie wyobrażam sobie. To jest kraj wymyślony. Można deformować tylko to, co istnieje. Wymyślonego nie da się deformować.

— A pan istnieje?

<sup>61</sup>*Śmierć w Wenecji* — nowela Tomasza Manna wyd. w 1912, opowiadająca o platonicznej miłości starzejącego się pisarza do młodego chłopca. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*Kafka, Franz* (1883–1924) — niemieckojęzyczny pisarz pochodzenia żydowskiego, urodzony w Pradze; tworzył opowiadania i powieści przedstawiające bezsilną, zagubioną jednostkę zmagającą się z bezduśnymi i niezrozumiałymi działaniami aparatu państwowego. [przypis edytorski]

— Z punktu widzenia teorii poznania — nie. Z punktu widzenia „zdrowego rozsądku” — mało, zaledwie zarys cienia. Ci wszyscy ludzie — zrobił gest ręką — nie zdają sobie sprawy z tego, jak mało istnieją...

Milczenie.

— A o co chodzi?

— Jak wyjdę kiedyś na wolność...

Machnął ręką.

— Opowiem panu zdarzenie. Pracowałem na północy, przy statystykach. Odbierałem telefony: że taki a taki odcinek kolei został zrobiony. Układałem raporty i na podstawie tych raportów wysyłano zaopatrzenia. Pewnego razu komisja z Moskwy. Oglądali obozy. Okazało się, że od roku w dwudziestu punktach nic się nie robi, że w ogóle nie ma żadnej kolei, że jest tylko tundra, a w tundrze obozy z ludźmi, którzy od roku śpią...

— Ja muszę naprawdę iść.

— W takim razie dobrej nocy. Proszę pamiętać o mojej prośbie.

Zląłem z pryczy. Na pierwszym piętrze siedział człowiek, któremu Igor Aleksandrowicz, przechyliwszy się, powiedział: „Dobry wieczór, inżynierze”.

Wyszedłem z baraku.

Wieczór. Znów wiatr znad Wołgi, który uspokoi się nazajutrz. W różnych kierunkach biegają ludzie. Nie widać twarzy. Kulą się. Bronią się przed mrozem. Jak bezbronni są. Trą sobie w biegu nos, policzki. Zatykają się szmatami. Tylko oczy, aby nie upaść.

Im bardziej zbliża się pora wyjścia na pracę, tym bardziej jesteś sam. Potem zamknięty z własnym losem. Oczy w oczy. Idziesz jak w szklanej kuli. Nikt, jeśli upadniesz, nie pomoże wstać. Ty drugiemu też nie. Nie masz zbędnych sił. Ani niezbędnych.

Wstępuję do latryny. Tu parują żywi. Starają się nie odmrozić tyłka. Ale nie zawsze to się udaje. Szewcy pracują dzień i noc. Krawcy też. Czarnopracujący<sup>63</sup> stoją na apelu. Czwórkami. Nie zgadza się. Stoją dwie godziny. W końcu wynoszą chorego, który upadł w latrynie. Inwalidzi sprzedają pomarańcze. Za pajdkę chleba. Uzbegy. Dostają paczki. Wszyscy chodzą szybko. Z jednego baraku w drugi. Jak najszybciej. Robią postoje. Brygada idzie się kąpać. Rezygnuję ze spotkania z naczelnikiem policji. Ma własny pokój i sprowadza kobiety. Mam mu dać cywilne spodnie. Jeszcze z Polski. Rezygnuję z naczelnika łagru. Baraki się zataczają. Widzę jaskrawe światło ambulatorium. Mam dyżur nocny.

Grisza śpi, Wania śpi, Pietia śpi. Ja też usnę na kwadrans. Sanitariusze sprzątają, jedzą witaminy. Nie zwracam uwagi. Olga poszła do domu. Jeszcze dziś siedzi Buehler. Wenerolog przyjmuje jeszcze kobiety. Zасыpiam przerywanym snem. Przychodzi jeden, ma temperaturę. Zwalniam. Przedtem muszę zapisać do księgi. Dodaję parę kresek, żeby lepiej wypadło. Przychodzi drugi. Temperatura. Trzeci, czwarty, dwudziesty, sześćdziesiąty pierwszy — wszyscy mają niewielką temperaturę. W końcu rozbieram jednego do naga. Pcham termometry, gdzie popadnie: w usta, pod pachę, w odbyty. Czasem symulują. Lokalne zapalenie w ustach i mają temperaturę. Albo w odbycie. Albo pod pachą. Oglądam te miejsca. Mają znajomych w szpitalu: zastrzyk mleka. Rana, która cuchnie naftą. Nieogojąca się. Stu sześćdziesięciu siedmiu chorych zwolniłem. Jeszcze nigdy. Zbliży się ósma. Zamykam. Tylko nagłe wypadki. Moja księga idzie do Buehlera. Po pół godzinie wraca. Spokój. O jedenastej budzą się Wania, Grisza, Pietia. Sanitariusze poszli spać.

Wania przeciąga się i mówi:

— Może by my się czego napili? Pietia?

— A czego?

— Denaturatu, naturalnie. Ale go będzie trzeba troszki przesączyć.

— Sącz.

— Już idę.

I leży.

— Ale na ząb coś położyć, to także warto.

<sup>63</sup>czarnopracujący (kalka z ros. чернорабочий) — człowiek wykonujący czarną robotę, ciężką i niewymagającą żadnych kwalifikacji; robotnik niewykwalifikowany. [przypis edytorski]



— Warto.  
 — Więc?...  
 — Grisza, marsz do kuchni.  
 — Ja mam gorączkę.  
 — Symulujesz bracie, zdaje ci się tylko. Marsz. A ty, Pietia, zabierz się do sączenia. Tylko trzeba będzie zrobić pięć sączków. A zresztą ja mogę pić niesączony.  
 Cisza.  
 Wrzeszczy:  
 — Ja wam sukinsynom zęby powybijam, powieszę...  
 Teraz nie należało żartować. Pietia zabrał się do sączków. Grisza — do kuchni.  
 — A ty — ty do mnie chodź.  
 Niby ja. Zupełnie zmieniając barwę głosu, prawie pieszczotliwie:  
 — Co z Natią?  
 — A nic. Kazała ci się kłaniać. Powiedziała, że więcej tu nie przyjdzie.  
 Chwila ciszy. Zupełnej ciszy. Mówię:  
 — Masz walonki.  
 — Nie będą mi potrzebne. A płaszcz, ten twój granatowy, pożyczysz mi?  
 — Tak.  
 — Tak.  
 — No, to dobrze.  
 Zamknął oczy. Udaje, że śpi. Minuta, dwie, trzy. W końcu:  
 — No to kurwa.  
 I już nie udaje. Patrzy w powalę<sup>64</sup>. W milczeniu Pietia cedzi denaturat. Przez pięć sączków. Czas się wlecz. Wraca Grisza:  
 — Będzie za pół godziny.  
 Spirytus kapie, kapie. Nikt nic nie mówi. Wania patrzy w powalę. Grisza kładzie się na podłodze. Ja też. Pod głową fufajki. Grisza wstaje, wychodzi do kuchni. Spirytus kapie. Wania patrzy w powalę. Jakby czegoś szukał. Wania:  
 — Ile tego będzie?  
 Z drugiego pokoju:  
 — Jakie trzy litry.  
 I znów cisza. Wchodzi Grisza. Niesie kartoflane łatki<sup>65</sup> i konserwę mięsną. Zrywamy się wszyscy. Trącamy się. Jemy z patelni. Popijamy spirytusem. Trzeba umieć pić spirytus. To jest łatwo. Przed wypiciem robi się wdech. Wania pije, że aż strach. Z szklanki. I żre. My też żremy. Wania, zwracając się do mnie:  
 — Jaka szkoda, żeś ty Żyd.  
 Żre dalej.  
 — Aleksiej nie-Żyd, a drań, Stepan nie-Żyd, a do d.y, Sieroża nie-Żyd, a drań, Kossowski nie-Żyd, a drań, tyłu, tyłu jest drani.  
 Żre dalej. Wania, z pijacką czułością:  
 — A ty jesteś Żyd, Żyd, pomyśleć tylko, o Boże...  
 Kiwa głową i wzdycha. Pietia ośmiela się, pod wódką:  
 — Ja raz wykończyłem jednego parcha<sup>66</sup>...  
 — Milczec. On jest przecież trochę Żyd. Zresztą, to mnie nie obchodzi. Pożyczasz mi granatowy płaszcz?  
 — Tak, już mówiłem.  
 — Idę do babskiego.  
 — Zamknięty w nocy — mówi Grisza.  
 — Nic nie szkodzi, przeleżę przez druty.  
 — Druty bardzo wysokie.  
 — Przeleżę. Zresztą, co wam do tego?  
 Żre dalej, popija spirytusem. Wania.

<sup>64</sup>powala — drewniany strop. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>łatki kartoflane — placki ziemniaczane; nazwa zachowana w jidisz jako *latkes*, tradycyjnie przygotowywane na żydowskie święto Chanuka. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>parch — strup na skórze wywołany chorobą grzybiczą; tu: daw. pogardliwe określenie osoby narodowości żydowskiej. [przypis edytorski]

— Dajcie bracia eteru, nie z waleriany, czyściuteńkiego eteru.  
Grisza wstaje, podaje dużą flaszkę. Wania z lubością wacha. Potem pije. Wstaje nagle.  
— Czy dobrze chodzę?  
— Dobrze. Ale milicja ani chybi cię zamknie.  
— Ja wdziewam granatowy płaszcz i idę. Idę wprost na druty.  
Grisza ukradkiem pokazuje, że Wania zwariował. Wania pod nosem:  
— Pomówię, pomówię, uhołubię.  
Uśmiech się wałęsa po jego szerokiej twarzy. Wdziewa mój płaszcz. Ostatnie słowo:  
— ...uhołubię.  
Znika. Teraz ja:  
— No, marsz spać, dzieci.

Godzina druga, trzecia, czwarta. O czwartej wchodzi Olga, naczelnny lekarz okręgu, dwóch ludzi z NKWD<sup>67</sup>.

Olga do mnie:  
— Ilu zwolniłeś ludzi?  
— Sto sześćdziesiąt siedem.  
— Nie wiedziałeś o szczepieniach przeciwtyfusowych?  
— Nie.  
Olga mówi coś do ludzi z NKWD. Jeden z nich:  
— Pójdźmy przecież.

I musiałem z nimi łązić po wszystkich barakach, gdzie znajdowali się zwolnieni. Olga zabrała termometry. Chorzy mieli teraz o wiele wyższą temperaturę. To mnie uratowało. I Olę też. Ten drugi, milczący, bełkotał coś o sabotażu. Potem weszli do gabinetu Olgi. Przyszli po spirytus. Pomyślałem: „Już dobrze”.

Naczelnny lekarz okręgu powiedział:

— Gorączka po szczepieniach nie jest chorobą. I nie masz prawa zwalniać.

Wyszedł. Olga już nie poszła spać. Boczyła się na mnie. Musiałem obudzić Pietię, żeby dyżurował za mnie. W końcu zagwizdałem jej, w gabinecie izolowanym, szlagiery, wybijając rytm dłońmi, palcami. Wtedy przestała się boczyć. Powiedziała:

— O mało mnie nie zamknęli. I mieliby słuszność. I dostałabym pięćdziesiąty ósmy. Byłoby za ciebie. A teraz się wynoś.

Położyła się na biurku i usnęła. Ja za to nie spałem, mimo że Pietia. Leżałem na podłodze, tak jak Wania, z szeroko otwartymi oczami. I myślałem. O tym, również, jakbym odwiedzał Olę w kobiecej części obozu. Że Wania tam poszedł na druty. I tak dalej.

Wani nie znalazłem podczas wizyty w karczerze. Może gdzieś po pijanemu usnął. Może go Natia przytuliła. Może wstąpił do nieba, ponieważ tak mało istniał.

Defilada w ciemności. Jakiś przewód się zepsuł. Widać tylko zarysy idących. Wznoszą się, im dalej od bramy. Elektrownia żarzy się. Ma wszystkie cechy boskości. Nawet utopiła pięćdziesiąt tysięcy ludzi, gdy zerwała się tama. Módl się za nami! Przebac nam, jako i my nie przebaczymy naszym winowajcom! Tuż obok jest godzina śmierci naszej. HUUU!

## WAADI

*Dla Bibika*

Zagęszczenie śmierci w kraju, który zamieszkuję, jest nieprawdopodobne. Ludzie, sami żywi, promieniują swoimi zmarłymi. Ludzie, nosiciele śmierci, jak kamyki rzucone

<sup>67</sup>NKWD — skrót ros. od *Народный комиссариат внутренних дел* (Narodnyj komissariat wnutrien-nich diel), Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych, centralny organ władz bezpieczeństwa w Rosji radzieckiej i ZSRR, kontrolujący służby policyjne i porządkowe, wywiad polityczny oraz system obozów pracy przymusowej. [przypis edytorski]

na wodę, rysują koła rozchodzące się, wpadające na siebie... Ja też jestem takim człowiekiem. Jasne, że moja opowieść jest śmiertelna.

Chcę opowiedzieć o dalekim miejscu w Uzbekistanie, gdzie królował pułkownik K. na wysokim pagórku, na kurwiej górcie, jak mówiono. Ta górka miała sprawiedliwą nazwę: nie bójcie się. Chcę też powiedzieć o dolinie wapiennej. Na dnie pełzła jadowita rzeczka, z której przynoszono wodę.

Przeszedłem tyfus i biegunkę, której nie dawano nazwy. Profilaktycznie. Wszyscy mieli biegunkę. Nawet najpiękniejsze dziewczęta. Sprawdzało się to mimo woli w latrynie. Zależnie od talentu erotycznego podcierały się kartkami z Lenina, kamieniami albo w ogóle nie. Chwiałem się z osłabienia. Ale unikałem słońca, bo było gorsze niż dżuma. Wznosiło się jak jastrząb w miarę wzrastania lata. Pięło się coraz wyżej. Sępy krążyły nad miasteczkiem.

Wyrosła mi czarna duża broda. Zobaczyłem ją w zupie.

— Wyglądam jak beduin — powiedziałem do sanitariuszki. Była ze Lwowa. Tam beduin znaczy Żyd. Zmieszała się.

W tym czasie Emil, którym później opiekowałem się trochę, zgłosił się do lekarza. Robił krwιά, więc odesłano go do szpitala. Tam czekał dwie godziny. Ewidencyjny od trupów, przy świetle księżycy, zapisał go i dał Andrzejowi skierowanie. Ewidencyjny od trupów poszedł spać, bo był pijany. A może nie był. Sanitariusz Andrzej zaprowadził go, świecąc lampą, do jednej z sal meczetu. Powiedział do kilku splątanych ciał:

— No, rozsunać się.

Ktoś zawołał:

— Dokąd? Za ścianę?

— Stoi człowiek. Musi leżeć. Musi być miejsce. Kładź się pan. Oni się już rozsuna.

Emil, który miał wątpliwości:

— Ale tu nie ma chorych na tyfus, co?

Andrzej, który miał do czynienia z wieloma bredzącymi, mruknął:

— Naturalnie, że nie.

Jedno ciało na podłodze ucieszyło się:

— Właśnie, że tak. Sam tyfus, idiota.

— Panie, ja mam sraczkę, żaden tyfus.

— Kładź się pan.

Popatrzył jeszcze raz na kartkę:

— Naturalnie, że tyfus.

— Ja się nie kładę. Zarażę się.

— Kładź się pan.

Emil szturchnął Andrzeja i wybiegł na podwórze.

W tej chwili zobaczyłem kogoś biegnącego w koszuli sięgającej do pępka. Nie poznałem go. Za nim trzech sanitariuszy. Wszystko to pod niebem wygiętym jak szklany dzwon.

W ten sposób Emil został u nas. Niebo było rozpalone do białości. Kwiaty z ognia chwiały się na białej ziemi, popękanej jak wargi w gorączce. Kał zaczynał się powoli gotować w cynowych nocnikach.

Emil spał. Czterdziestu dwu ludzi leżało na ziemi, tak że nie wszyscy mogli równocześnie leżeć na plecach.

Ich pot parował. Ich bulgotania, jęczenia, charczenia i chrapania. Ich ręce mieszały się. Oddechy też. Sanitariusz Andrzej nie podnosił nawet głowy, gdy ktoś wołał:

— Basen!

W półśnie myślał:

— Niech srają, niech utoną w gównie, niech zdechną, niech się to wszystko razem zapadnie.

I oni srali pod siebie, a kał wysychał szybko: zjadały go muchy.

Emil spał. Siódmy dzień gorączki: czterdzieści jeden do czterdziestu dwóch stopni. Mówiłem z doktorem Wilczkiem. Ten powiedział:

Choroba

— Panie, co pan sobie myśli? Egzantemy<sup>68</sup> nie ma. Próba Weila<sup>69</sup> minus. Malaria minus. Brucellosa<sup>70</sup>? Zresztą, jak się tu robi analizy. Dziś umarł dwudziesty szósty lekarz.

I odszedł z nowym podręcznikiem chorób tropikalnych. Na głowie Emila ktoś trzymał rękę. To dusiło — więc powiedział:

— Staszek, jak nie weźmiesz ręki...

Po kwadransie:

— Staszek, weź rękę.

Ja leżałem z drugiej strony. Powiedziałem: „Staszek nie żyje” i zdjąłem rękę. Zawolałem Andrzeja. Potrwało to trochę, zanim go zabrali. Emil usnął. Bełkotał. Po chwili obudziłem go:

— Zupa!

— Mam ją gdzieś. Daj spać.

— Już szósty dzień nic nie jesz, zdechniesz.

— Zdechnę.

— Nie wolno ci.

Milczenie.

— Daj mi.

Karmiłem go. Zjadł pięć łyżek.

— Dosyć, zwymiotuję.

W południe przyszła Ewa. Była brązowa, wychudzona, upudrowana. Prawie że ładna, ubrana starannie. Był jej wdzięczny, że wygląda trochę podobnie do siebie.

Była jego dziewczyną. Ale to nie jest proste.

Ona uważała, że kocha Pawła, który był oficerem. Do niego wchodziło się przez okno, po drabinie. Leżał luźniej i umierał na gruźlicę. A spała z Jareckim, kwatermistrzem.

Zony sowieckie były wygodne dla żołnierzy. Staraly się być koło nich. Jak który zachorował, to przynosiły mu, co mogły. Wpijały się w nich, żeby tylko nie umarli. Wtedy zazwyczaj przestawały być rodziną wojskową i cały wyjazd z Rosji nie był pewien. Ewa postanowiła wyjechać z Rosji.

— Przyniosłam ci wino. Czerwone.

— Czy mam dużą brodę? Skąd wzięłaś wino?

— Spałam z Jareckim.

Jej oczy były zupełnie puste.

— Muszę już iść.

— Do Pawła?

— Tak.

Poszła.

Kobiety potrzebują za wszelką, ale to za wszelką cenę czułości. Zobaczyłem to dokładnie dopiero teraz. Zachowują się jak koty. Gdy nie są głaskane — opuszczają ogony. Miauczą potem. Wreszcie zaczynają się ocierać o stółek. Ten stółek ożywia się czasem. Mogłyby bez tego umrzeć. Dla Ewy był stółkiem Jarecki. Stółkiem, na którym stał cukier, wino i tłuszcz.

Poza tym spółkowały dla zapomnienia się. Nie „zapomnienia”. One usiłowały zgubić się. (Mężczyźni nie umieli tego). Nie należy ich surowo sądzić. One odgradzały się przez spółkowanie. I odradzały. To jest bardzo dziwne.

Więc Ewa poszła do Pawła. Gdy wchodziła na drabinkę, miała zagubioną, napiętą twarz. I przynosiła mu tu swoje siły, na to miejsce z pewnością straszne. Czy potrafiłaby to robić, gdyby spędzała inaczej noc?

Podciągnęła się i skupiła, jak do skoku. Jej „dzień dobry” było pogodne.

Kobieta

<sup>68</sup>egzantema (łac. *exanthema*, med.) — wysypka skórna. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>Weila próba (med.) — odczyn Weila-Felixa, próba serologiczna stosowana w rozpoznawaniu chorób wywołanych przez riketsje, gł. duru plamistego (tyfusu plamistego); wynaleziona w 1916, dawniej b. popularna ze względu na prostotę, ob. zastąpiona przez nowsze, mniej zawodne metody. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>brucellosa (łac., med.) — brucelloza, przewlekła, zakaźna choroba bakteryjna zwierząt, dla człowieka odzwierzęca. [przypis edytorski]

Wąskokościsty delikatny chłopiec. Trochę dziecinny, trochę bardzo stary. Biały. Nie golił się, bo nie miał czego. Ogromne fioletowe oczy. Nos wąski i chrapy drgające. Dziecko skazane od urodzenia. Uśmiechnął się. Więcej nie mógł.

Ona przyniosła mu siebie całą, nieuszkodzoną, nienapiętnowaną. Ofiarowała mu siebie z uśmiechem, jak na tacy. Z całą swobodą, z zaprzeczeniem rzeczywistości. Jakimś kobiecym sposobem oderwała się od tego, co otacza. Przyniosła mu siebie, świeżą jeszcze i pachnącą. Powiedziała „dzień dobry” i usiadła na kocu. Chłopiec i dziewczyna na wycieczce. Potrafiła być gdzie indziej, podczas gdy była z nim.

Wszystko leżało zmiażdżone słońcem. Szpital urządzony w meczecie, kolorowe kolumny rzeźbione w drzewie, mozaika oślepiająca, chorzy na tyfus, na biegunkę. A na dole sączące się powoli waadi<sup>71</sup>.

Muchy pokrywały leżących — jak aksamitny dywan. Gdy ktoś ruszył nogą, podnosiły się z szumem maszyn, z szumem dziesięciu tysięcy trzmieli i opadały. One też spółkowały. Na łyżkach, w czasie jedzenia, w uszach, w oczodołach, wchodziły do ust. Były zwariowane, rozpusztne i bezczelne. Królowały na ekskrementach. Doktor Wilczek mawiał, gdy siadały na kimś tak gęsto, że nie można było go poznać:

— Stawiają diagnozę lepiej od nas. *Moribundus*<sup>72</sup>. Czują rozkład o dwa dni wcześniej.

Prorocy w turbanach, o białych brodach, jechali przez słońce jak widma.

Niewiarygodnie chudzi, chorzy na dezynterię<sup>73</sup>, marzyli w groźne południe o cieniistych latrynach, o spokoju, aby leżeć i spać w klozetach, aby nie trzeba było tam pełzać pięćdziesiąt razy dziennie, aby nie bolała kiszka stolcowa, aby spacerowały wokół nich duże, piękne skarabeusze, czarnozielonkawe żuki gnojne, toczące przed sobą, jak lwy w cyrku, kule kału. I mieli jeszcze jedno pragnienie, straszne pragnienie: pragnienie wody, która była zakazana.

Potajemnie, gdy przynoszono ją z waadi, czołgali się do niej, w dzień i w nocy, obłąkani, przyklepni do wiader jak pijawki, pili czystą, brudną, pili trzy, cztery, pięć litrów. Nie zważali na żadne argumenty. Odciągano ich przemocą, bito, czepiali się kościstymi rękami, przenoszono wiadra, odnajdywali je. Na parę godzin przed śmiercią, na czworakach, z opuchłymi nogami, brzuchami, w strasznym pożądaniu marzyli o wodzie, pełzali do niej, śnili, aby była chłodna i przeźroczysta.

Mijało południe, w którym ludzie chodzili jak muchy w syropie. Wieczorem wynoszono trupy w niebieskich siennikach. Ewidencyjny od trupów opowiadał doktorowi Wilczkowi z przejęciem, jak pewna wdowa po kapitanie chciała jeszcze raz ujrzeć twarz nieboszczyka męża, a okazało się, że z siennika wygląda Żyd z siwą brodą.

Ale lekarz machnął ręką i poszedł do dyżurki. Był bardzo zmęczony, nie spał trzy noce.

Słońce zaczęło opadać, ukazała się wyschnięta sadzawka na środku podwórza. Ewidencyjny był zdenerwowany. Chciał iść do miasteczka, załatwić potrzeby seksualne, upić się winem. Czekał, aż chory, z którego zostały same oczy, umrze, aby zanotować stan dzisiejszy i kazać go zabrać. Po raz drugi wchodził do sali i pytał sanitariusza Andrzeja:

— Zwłoki gotowe?

Sanitariusz Andrzej spotykał wzrok tego, na którego czekali, i odpowiadał:

— Nie.

Więc za piętnaście minut znów:

— Zwłoki gotowe, do ciężkiej cholery?

— Nie.

— Niech to szlag trafi. Idę.

I poszedł. Na oddziale chorych na tyfus ktoś zaczął szczekać. Słońce zachodziło, niebo było połyskliwe, teatralny księżyc wisiał na niebie. Osły płakały z daleka.

<sup>71</sup>*waadi* — z ar. *wādi*, dziś popr. pisownia: *wadi*: dolina a. suche koryto rzeczne na obszarach pustynnych, wypełniające się wodą w czasie ulewnych deszczów; tu: rzeczka płynąca taką doliną. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*moribundus* (łac.) — umierający (lp r.m.). [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*dezynteria* — popr.: dyzenteria, czerwonka, ostra choroba zakaźna jelit, której objawem jest uporczywa biegunka i obecność krwi oraz śluzu w stolcu; nieleczona prowadzi do śmierci. [przypis edytorski]

Niektóre siostry, na ogół ładne, robiły się na wyjście. Niektóre mieszkały w meczecie. Myły się. Wszystkie robiły *toilette intime*<sup>74</sup>. Nigdy nie wiadomo, co noc może przynieść. Szorowały się jak koty, z dziwnymi zapatrzeniami. Atak mycia, chwila nieobecności, wolne, nieprzytomne lizanie się, potem nagle olśnienie. Długo się zastanawiały w bezruchu. Rozplatały papiloty. Ubierały się. Pokazywały sobie nawzajem w małych lusterkach sińce.

Robiły się na wszelki wypadek i robiły się na określony wypadek. Potem przepływały jak okręty ku wyjściu.

W tym czasie Ewa zapukała do dyżurki. Pukała, pukała, aż weszła. Doktora Wilczka trzeba było wyciągnąć ze snu jak z studni. Usiadł i był ledwo przytomny.

— Doktorze, doktorze.

Trochę przerażony, miał przykre sny.

— Czy on umrze?

— Kto, kto taki?

Jeszcze nie poznał Ewy. W końcu zorientował się, że chodzi o Pawła.

— On? On już umiera.

Postanowiła, że będzie umierał przy niej, żeby się nie bał, wtulony w nią. Będzie mu opowiadała bajki. Nie takie, że wyzdrowieje i jak to będzie. Tylko — jak małym dzieciom. Od trzech dni miał krwotok. Był prawie przeźroczysty. To się tak mówi, ale niewiarygodne, jak skóra może być przeźroczysta. Najpierw krwotok zaczął się gwałtownie przez usta, potem nauczył się połykać krew. Zawsze można się jeszcze czegoś nauczyć.

Opowiadała mu bajkę *O Promyku Księżycy*, *O Dobrym Siewcy*, *W jego sercu śpiewał skowronek*<sup>75</sup>. On nie mógł mówić, gdy pytała „opowiadać dalej?” — kiwał dłonią, że tak. I jeszcze, jeszcze.

W końcu leżał na jej prawej ręce, lewą głaskała go, czuła jego oddech na policzku. Śmierdział trochę. Była bardzo spokojna. To wykraczało daleko poza granicę tego, co wzrusza.

Umierał w czasie nocy miękkiej jak wata, żuki o metalicznych, lśniących grzbietach toczyły bez przerwy kule kału, syte wszy poruszały się sennie, szakale odgrzebywały trupy i krzyczały, osły bardzo płakały. Emil bredził Céline’a<sup>76</sup>: „Porzuci się wszędzie poronione płody szczęścia, żeby śmierdziały po kątach ziemi...”; oddając kał, bez przerwy umierało dwunastu ludzi, którzy miauczeły jak koty; ich głos nie był więcej głosem człowieka. Trzynastym był Paweł.

Jedną ręką ścisnął dłoń Ewy, drugą skrobał poduszkę, jak ona w czasie orgazmu. O godzinie jedenastej zaczął drgać gwałtownie, pięć minut potem zaczął śpiewać. Był to śpiew przesycony dygotaniem, o nieokreślonej tonacji, podobny do ksztuszenia się Arabów i do śpiewu szakali.

O pierwszej przyszedł doktor Wilczek.

— Chce pani, abyśmy mu wpakowali kamforę i glukozę? Mógłby tak śpiewać ze trzy dni.

Ewa odpowiedziała:

— Nie.

Myślała o świcie, w którym nie widziała dla niego już miejsca, i chciała, aby ta chwila nie skończyła się nigdy. Układała sobie swoje życie w skupieniu, uwadze, a jednocześnie wstawiała w niej rozpacz. Chory, który leżał obok, podmacywał ją trochę i ona tego nie czuła; a może zresztą czuła.

O czwartej nad ranem oddech jego zahaczył się o coś, jego śpiew ustał, szczęka opadła. Zobaczyła błyszczące w księżycu zęby i uśmiech — grymas lubieżny, i on leżał już tam, leżał po drugiej stronie, wtulony w nią, prawie usta w usta.

<sup>74</sup>*toilette intime* (fr.) — toaleta intymna. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*O Promyku Księżycy, O Dobrym Siewcy, W jego sercu śpiewał skowronek* — tytuły bajek z tomiku Ireny Lewulis (1909–1988) i Bronisława Kamińskiego wydanych w 1946 w Paryżu. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*Céline, Louis-Ferdinand*, właśc. *Louis-Ferdinand Destouches* (1894–1961) — francuski prozaik; zadebiutował skandalizującą powieścią *Podróż do kresu nocy* (1932), z której pochodzi cytat podany w dalszej części zdania. [przypis edytorski]

## POWRÓT

Więzienie było przed wojną klasztorem. W podłodze była dziura i do niej należało się załatwiać. Z dziury wylaziły szczury i laziły po mnie, gdy spałem. Dostojne i lśniące.

Na ścianie napisy wyłobione przez różnych ludzi:

„Moja żona żyje z Tłustym”,

„Bug 6 XII 39”,

„Ja siedziałem tu 7 miesięcy i onanizowałem się 2 razy”,

„Koniec”,

i inne rzeczy. Poza tym był narysowany zadek i różne części ciała ludzkiego. Wilgoć spływała z ścian. Zgadzało się to zupełnie z książkami, które czytałem, mając lat trzynaście.

Leżeliśmy na szerokiej pryczy i było zimno. Handlarz świń, złodziej o bardzo ładnych rękach i człowiek posądzony o morderstwo wtulali się w siebie, podkurczając nogi, przykrywali się wspólnie. Ja wstydziłem się i nie mogłem: nie mogłem korzystać z ciepła, jakie dawali, bo byli mężczyznami. To był naturalnie nonsens, ale męczyłem się.

Pewnego razu, gdy spałem, handlarz świń przykrył mnie swoim paltem i przysunął się do mnie. Rano powiedział:

— Nie bądź pan kretyńcem.

Potem, kiedy miałem spać, przytulałem się do chudego studenta chorego na Basedowa<sup>77</sup>, do kieszonkowca, który bardzo ładnie śpiewał idiotyczne piosenki, i w ogóle do wielu ludzi, którzy śmierdzeli, sapali, cmokali we śnie, jak gdyby ssali smoczek, gwizdali, pocili się i mruczeli. Ich wszy przechodziły na mnie, moje na nich. Ratowało mnie ciepło ludzkie: sam byłem chudy i anemiczny — dawałem mało ciepła. Nawet to mnie nie przejęło, gdy pewnej nocy jubiler-gruźlik próbował uważać mnie za swoją żonę. Zresztą zdarzało to się rzadko, bo byliśmy zbyt wygłodzeni.

Rano, gdy wstawaliśmy, handlarz świń odbywał po celi dłuższy spacer, a potem przemawiał:

— Proszę panów, ja wychodzę z domu przy ulicy Długiej, z tego czerwonego, na rogu, i idę sobie spacerkiem prawą stroną, i oglądam sobie wystawy, aż do Prostej, i auta, proszę panów, jadą i trąbią, i psy latają, a ja, proszę panów, wchodzę do tego fryzjera N., mimo że wcale nie mam takiej brody. Potem woda kolońska, potem idę do klozetu miejskiego naprzeciwko, tam jest taka miła staruszka, i załatwiam się czyściutko, a potem... potem idę jeść.

Przemowa była długa i dokładna. Słuchaliśmy jej bardzo uważnie; zwłaszcza jadłospisu. Kieszonkowiec zawsze wołał — zamiast bułki z szynką — jajecnicę na słoninie. Jubiler nie używał wody kolońskiej.

Pewnego dnia, a był to dzień bardzo zwykły i niespodziewany, wyszedłem z ogoloną głową, dużą brodą, ale odwieszony, na ulicę, i nikt mnie nie pilnował. Powietrze zaczęło mnie dusić, psy biegały, samochody jeździły tam i z powrotem. Mój wzrok był przylepiony do ruszających się rzeczy. I tak zacząłem pomału, z niedowierzaniem, chodzić.

Potem odnalazłem Ewę.

Wprowadziliśmy się, w podstępny sposób, do pewnego pokoju, którego właścicielka wyjechała wprawdzie, ale mogła wkrótce wrócić. Było tam jeszcze zimniej niż w więzieniu, rozklekotane pianino, jeden tapczan, dwa słoiki konfitur i pierzyna. Wśród nut, które leżały koło pianina, znalazłem pieśni Schuberta<sup>78</sup> i uczyłem ją w dalszym ciągu śpiewać *Śmierć i dziewczynę*<sup>79</sup>.

Jest to najdziwniejszy dialog, połączenie miłosno-śmiertelne dwoiste, sięgające samych trzewi. I pod każdym „nie” kryje się „tak”, i spod nienawiści i strachu wypełza miłość. Uczyłem ją więc obłąkanego krzyku dziewczyny i ona wiedziała, jak ma wołać:

<sup>77</sup>Basedow — tu pot.: choroba Basedowa, przewlekła choroba tarczycy, objawiająca się m.in. wolem i wtrzeszczem oczu. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>Schubert, Franz (1797–1828) — kompozytor austriacki, jeden z pierwszych przedstawicieli romantyzmu w muzyce. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*Śmierć i dziewczyna* — pieśń skomponowana przez Schuberta do niemieckiego tekstu Matthiasa Claudiusa. [przypis edytorski]

„*Ruebre mich nicht an, ruebre mich nicht an!*”<sup>80</sup> — wiedziała też, jak mówi śmierć. Jej alt<sup>81</sup> musiał być czarnolśniący, jak rzeka w nocy, uwodzicielski, a na końcu przechodził w szept, nie tracąc ciemnego błysku, opadał na dno, gdzie splątane, jak kłębowisko żmij, falowały i gotowały się miłość i śmierć.

W pokoju było więc bardzo zimno, siedziałem przy pianinie w palcie i rękawiczkach, i nie bardzo mogłem ruszać palcami, mimo że akompaniament był prosty. W końcu zrobiło się ciemno, nie było światła, więc postanowiła, że pójdziemy spać.

Spałem z nią na jednym tapczanie, pod pierzyną. Było bardzo zimno i coraz zimniej. Ona była duża i ciepła, ja byłem głodny i zdechły. Czułem, że wszystko z nią się kończy, pomału, w mrozie, że wszystko kończy się w ogóle. Nie myślałem dużo, byłem otepiały, galaretowa masa, w ogóle nic, flak. Nie spałem, patrzyłem w okno i starałem się nie drapać za bardzo, by jej nie obudzić; to nie było takie łatwe.

Spała spokojnie, oddychała równo, nieświadomie spychała mnie na brzeg tapczanu. Potem, na wpeł w śnie, obróciła się tak, że leżała twarzą do mnie, podkurczyła kolana, i czułem jej oddech na policzku. Było niewygodnie, ale za zimno, żeby wyjść z łóżka. Byłem zresztą w samej bieliźnie, bo powiedziała przed spaniem: „Musisz się rozebrać”, więc rozebrałem się — pierwszy raz od dwóch miesięcy.

Myślałem o tym, co opowiadała mi wieczorem, o jakimś Borysie, którego poznała na uniwersytecie, była z nim w pływalni i: „Myślałam, czy wyjechać z nim. Jedzie na uniwersytet do Kijowa. Nie wiem, dlaczego nie zrobiłam tego. To było takie proste”.

Wtedy nagle usłyszałem, że coś do mnie mówi. Przez dłuższy czas nie rozumiałem, o co chodzi. Mówiła:

— Podaj mi pieśni Schuberta.

Pieśni Schuberta leżały koło pianina, bardzo daleko, poza tym cała historia wydawała mi się nonsensem. Powtórzyła w wyraźnie tragiczny i trzeźwy sposób:

— Podaj mi pieśni Schuberta.

Wstałem, człapiąc bosymi nogami i trzęsąc się, grzebałem wśród nut. Szukałem jedynych, jak wiedziałem, w twardej okładce. W końcu je znalazłem. Tymczasem wstała z łóżka, w koszuli (nie bała się nigdy zimna).

— Pokaż je.

Oddałem nuty. Podeszła do okna, gdzie było nieco jaśniej. Widziałem jej profil. Pochyliła się, położyła na nuty niewidzialny dla mnie przedmiot i przygniotła go paznokciem. Usłyszałem cichy trzask, którego nie zapomnę. Mruknęła głosem, którym śpiewała śmierć w *Śmierci i dziewczynie*:

— To jest, kochanie, wesz.

<sup>80</sup>*Ruebre mich nicht an, ruebre mich nicht an!* (niem.) — Nie dotykaj mnie, nie dotykaj mnie! [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*alt* (muz.) — niski głos kobiecy lub chłopięcy. [przypis edytorski]



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest udostępniony na licencji **Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0. PL**.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/lipski-dzien-i-noc/>

Tekst opracowany na podstawie: Leo Lipski, Dzień i noc, Instytut Literacki, Paryż 1957

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-5538-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.